ROCZNIK XV. Lipiec 1911. Nr. 7.

Wiadomości Salezyańskie

Organ Związku Pomocników Salezyańskich

Turyn – Via Cottolengo, 32

TREŚĆ:

Przezacnych Pomocników, co przypadkiem otrzymują zbyteczne egzemplarze Wiadomości, najuprzejmiej prosimy zwrócić je listonoszowi z dopiskiem „zbyteczne," albo podawać je innym do przeczytania.

Zaproszenie na Odpust św. Jacka.

W niedzielę 20 sierpnia odbędzie się w Oświęcimiu doroczny wielki Odpust św. Jacka, na który najuprzejmiej zapraszamy czcigodnych naszych Pomocników i Pomocnice. Tym razem zwracamy się także z zaproszeniem do byłych wychowanków naszego zakładu oświęcimskiego i innych domów Salezyańskich. Centralny tymczasowy Komitet dla Stowarzyszeń, Związków, Kółek byłych wychowanków Salezyańskich ogłosił zjazd międzynarodowy na 8. 9. 10. września do Turynu. Ponieważ nie było dotąd możliwem, by w tych kilku latach istnienia pierwszego domu Salezyańskiego w Polsce większa liczba wychowanków mogła sobie wyrobić ustalone stanowisko społeczne, nie można było również dotychczas zorganizować liczniejszego Związku byłych wychowanków. Pragnąc jednakowoż zachować pomiędzy sobą węzły przyjaźni i omówić jednolitą akcyę na najbliższą dobę, zapraszamy dawnych wychowanków tak oświęcimskich jak i innych zakładów Salezyańskich, nie wyjmując tych, co byli we Włoszech, na tegoroczną uroczystość św. Jacka do Oświęcimia.

Za kapłanów.



Rzecz bolesna a niemniej prawdziwa: za kapłanów rzadko kto się modli. Czy zamknięty w samotnem zaciszu swego mieszkania, czy rozmodlony pod wspaniałem niebem świątyni, kapłan spełnia czynność, którą się dzisiaj pono nizko ceni: kapłan się modli. Za kogo? Za Kościół i lud. Ludziom, zakopanym w złocie lub błocie modlitwa wydaje się czemś bezwartościowem; ale dusza chrześcijańska wie, że tylko modlitwie kapłańskiej, mianowicie w czasie ofiary Mszy św. mamy do zawdzięczenia, jeżeli na ziemię nie spadają tak częste jak niegdyś gromy sprawiedliwości Bożej. Stąd nasz obowiązek odpłacać się modlitwą za modlitwy.

Nie sądźmy, że kapłan dlatego, iż często obcuje z Bogiem, nie potrzebuje naszych modlitw. I kapłan odczuwa w sercu oną nieopisaną próżnię, która mu każe powtarzać: Módl się za mną. I on boi się zostać sam na sam przed Bogiem — i on żywo pragnie znajdować się w licznem otoczeniu dusz pobożnych, gdy ofiaruje Bogu łzy błagalne o łaski i błogosławieństwa. A tymczasem tak często musi on podzielać los Mistrza swego w Ogrojcu, tak często musi konać w samotności lub w otoczeniu przyjaciół, co nie umieją modlić się za niego. Swiat wymaga wiele, bardzo wiele od kapłana — pod naciskiem tych wymogów dusza kapłana często miewa chwile konania — czego świadkiem jest tylko sam Bóg; niechże przynajmniej duchowna dziatwa jego modli się z nim i za niego.

Przecież i on ma zbawić duszę. Ma zbawić duszę o wiele więcej nagabywaną przez szatana, aniżeli dusza zwykłego chrześcijanina. Bo szatan wie, że jeśli mu się uda zepchnąć na manowce jednego kapłana, strąci przez to całą rzeszę na drogę zatracenia; więc na niego kieruje z największą zaciekłością swe jadowite pociski... Kapłana biorą na cel nieprzyjaciele, jemu samemu tylko znani, których złość na niego tylko się wylewa: biada mu, jeżeli ręka miłosierdzia Bożego oddali się na chwilę od jego głowy.

Za każdą czynność kapłańską czeka go odpowiedzialność przerażająca: będzie musiał zdać rachunek z każdej Mszy, z każdego kazania, z każdego Sakramentu, z każdej duszy, którą prowadził przez życie; jeżeli dla naszego dobra, dla naszego zbawienia bierze na się tak ciężką odpowiedzialność, to słuszna, byśmy choć modlitwą starali się ująć mu tego ciężaru.

Gdy wstępuje na ambonę, módlmy się za niego, by go Bóg oświecił, wzmocnił, zagrzał gorliwością, aby słowa jego były światłem dla naszego umysłu, iskrą, płomieniem dla naszego serca, siłą i mocą dla naszej chwiejnej woli. Gdy wstępuje do Ołtarza, módlmy się za niego, aby Ciało i Krew Zbawiciela tak ściśle zjednoczyły go z Bogiem, iżby się nigdy a nigdy od Niego nie oddalił. Gdy się mamy przed nim spowiadać, módlmy się, aby pewną ręką umiał dotknąć i zleczeć rany duszy naszej, by mu nie zabrakło cierpliwości w ciernistej i długiej pracy, podjętej dla naszego wiecznego szczęścia.

Jeśli jest młody, prośmy Boga, aby hamował jego młodzieńcze zapędy pamięcią na dni wieczności. Jeśli stary, módlmy się, by go Bóg wspierał wspominaniem dzieł dokonanych dla Swej chwały i pozwolił dopełnić żywota nowemi cnotami, życiem zacisznem, skupionem, żarliwą modlitwą, przygotowaniem ostatniego sprawozdania, w oczekiwaniu zasłużonego wieńca. Jeśli godnie odpowiada swemu powołaniu, módlmy się, by ani jedno słowo, ani jeden jego przykład nie padł na ziemią niewdzięczną; a jeśli na nieszczęście nie stoi na wysokości swego posłannictwa, prośmy Boga, ażeby ci, co go widzą lub słuchają, mieli tyle rozsądku chrześcijańskiego, by umieli rozróżnić perły od błota, godność kapłańską od nędz osobistych, by nie zapomnieli nauk i przykładów ewangelicznych na widok uczynków mniej poprawnych; spraszajmy na jego głowę tosamo miłosierdzie Boże, które nas może po tysiączne razy wyrwało z otchłani zatracenia.

Kościół potrzebuje tak bardzo kapłanów, pełnych Ducha św., gotowych do poświęcenia, zapalonych gorliwością i rwących się do pracy z czystą intencyą: dać chwałę Bogu i zbawić duszę. Ale pamiętajmy, iż narody mają zazwyczaj takich kapłanów, na jakich zasługują. Dobry kapłan, to zaiste dar wielki dobroci Bożej, ale zjawia on się tylko tam i wtedy, gdzie go ściąga modlitwa serdeczna i gorąca. A przeto, gdy się modlimy do otwartego Serca naszego Boskiego Zbawiciela, polecajmy Mu gorąco naszych kapłanów, prośmy Go serdecznie, by pomnażał ich liczbę w miarę, jak mnoży się liczba Jego wyznawców, by nam dał kapłanów wedle Serca Swego — gorliwych, żarliwych o Jego chwałę i o zbawienie dusz naszych.

CO POCZĄĆ?

Otrzymujemy bardzo często od naszych Pomocników listy z serdecznemi skargami na dzisiejsze zepsucie obyczajów, z zapytaniem, co robić, ażeby temu jakoś przeciwdziałać.

Odpowiadamy na to: Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni. Błogosławieni ci gorliwi Pomocnicy, którzy widzą i opłakują ten smutny stan rzeczy, bo Pan Bóg, który im dał to zrozumienie i współczucie, da im także siły i światła do skutecznej pracy celem naprawienia złego.

Mogą złemu zapobiegać mianowicie następującymi sposobami:

Po pierwsze. Chronić siebie nasamprzód, swoją rodzinę, krewnych i przyjaciół od niewiary i od zepsucia.

W miejscowościach, gdzie niema formalnie zawiązanych Stowarzyszeń katolickich, powinni krewni i przyjaciele trzymać się razem i solidarnie (to znaczy: jeden za wszystkich i wszyscy za jednego), ilekroć chodzi o usunięcie jakiegoś nieporządku, zagrażającego moralności lub publicznemu dobru.

Po drugie. Ofiarować się na usługi miejscowego X. Proboszcza, nauczyciela lub innego jakiego wykształconego męża, aby luźne siły połączył w Stowarzyszenia, o ile takowe jeszcze nie istnieją.

Po trzecie. Starać się o przewagę nad złymi zapomocą głębokich przekonań religijnych, oświaty i dobrobytu.

Głębokich, mocnych przekonań religijnych nabywa się przez pilne pogłębianie katechizmu i przez częste rozważanie tych prawd: *Bóg - Dusza - Niebo - Piekło - Chrystus ukrzyżowany, zmartwychwstały i utajony w Tabernakulum - Kościół od 19 wieków prześladowany a nigdy nie pokonany - Papież, więzień w Watykanie, którego nieomylnej nauki słucha 17 Patryarchów, 200 Arcybiskupów, 1000 Biskupów i niepoliczone zastępy kapłanów i wiernych.*

Oświaty nabywa się czytaniem dobrych książek i gazet, jakoteż przez częste zasięganie rady u ludzi wykształconych.

Dobrobyt materyalny podnosimy, pracując nietylko rękoma, ale także głową, rozumem; nie zabijajmy przeto rozumu wódką! Nie marnujmy pieniędzy na procesach!

Pewien znawca obliczył, że w jego dyecezyi uboga ludność marnuje rocznie 6 milionów złotych na procesach i dodaje, że przy troszce dobrej woli dałoby się tę sumę zmniejszyć do połowy przez zaprowadzenie urzędów rozjemczych.

(P. Gaz. Kośc. N. 18 r. 1911).

Po czwarte. Wspierać czynnie albo datkami instytucye i zakłady, pracujące nad wychowaniem młodzieży. Tak na przykład na Malcie 30 ojców rodziny pracuje codzień w naszej kaplicy świątecznej, ucząc młodzież katechizmu (p. M. Birchircara str. 173 — Wiadomości czerwcowe — r. 1911).

Po piąte. Powtarzać często i gorąco drugą prośbę modlitwy Pańskiej: ...**Przyjdź Królestwo Twoje!** „*Niechaj rośnie, potężnieje i święci tryumfy Kościół Katolicki na ziemi, niechaj narody wszystkie uznają jego prawa i prawa jego najwyższego Pasterza, niechaj umysły wszystkie przed nim, gdy jako Namiestnik Chrystusowy naucza, chylą się z uległością, jako przed jedynym posiadaczem i zachowawcą Prawd objawionych. Jemu niechaj wszystkie wole będą posłuszne, aż po doczesnych tryumfach wnijdzie do nieba z rzeszami wiernych dusz przez siebie zbawionych.*"

To była nieustanna modlitwa X. Bosko, to było jego nieugaszone pragnienie przez wszystkie dni jego życia. Wszystkie jego myśli i wszystkie jego uczynki do tego zmierzały, żeby wywyższyć Kościół; cieszył się z jego radości i z jego wyniesienia, i bolał nad jego cierpieniami i nad prześladowaniami. Więc z żarliwością przykładał się do prac, które mogły Kościołowi przysporzyć radości i przyczynić się do jego zwycięstwa, wynagrodzić poniesione szkody, przywrócić na jego łono zbłąkane owieczki, pomnożyć w ten sposób zastęp jego synów. Jako katolik i jako kapłan zdawał sobie całkowicie sprawę ze swoich obowiązków, dostrajał najmniejsze swoje prace do zadań Kościoła Powszechnego, jak żołnierz, który jest świadom tego, że i na ostatniej placówce czynem swym może przechylić zwycięstwo na stronę Kościoła. Gdy się do tego nasuwała okazya, nie uchylał się od wysłuchania spowiedzi, od wypowiedzenia kazania, od dania upomnienia, dobrej rady, od wzięcia udziału w modlitwie wspólnej, uważając wszystkie te rzeczy jako posiadające najwyższe znaczenie.

Tak czynił X. Bosko, tak czynić powinni jego Pomocnicy. Oglądać się, czy w najbliższem ich otoczeniu niema czego do zrobienia dla chwały Bożej i Kościoła, a jeżeli tak, to wykonać to natychmiast, nie czekając innej sposobności.

SKARBIEC DUCHOWNY.

Pomocnicy Salezyańscy, którzy **wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunię św**, odwiedzą nabożnie jaki Kościół lub Kaplicę publiczną albo, jeśli żyją wspólnie, własną Kapliczkę i tamże **pomodlą się** na intencyę Ojca św., zyskać mogą następujące **odpusty zupełne:**

a) **każdego miesiąca:**

1) w dzień, przez każdego dowolnie obrany.

2) w dzień, w którym odprawią ćwiczenie dobrej śmierci,

3) w dzień, w którym wezmą udział w konferencyi Pomocników Salezyańskich.

b) **od 1 sierpnia do 1 września**.

1) 6-go sierpnia, w dzień Przemienienia Pańskiego.

2) 15-ego sierpnia, w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.

3) 16-tego sierpnia, w dzień św. Rocha i Najśw. Serca Panny Maryi.

Nadto: Zyskać mogą zawsze, będąc w stanie łaski (bez potrzeby nawiedzenia jakiego Kościoła lub przystąpienia do Sakramentów śś.) wszystkie odpusty stacyjne w Rzymie, Porcyunkuli, Jerozolimie i św. Jakóba w Kompostelli, jeśli odmówią *5 Ojcze nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu* za pomyślność i potrzeby Kościoła i jedno *Ojcze nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu* wedle intencyi Ojca św.

SYSTEM WYCHOWAWCZY X. BOSKO.

(Ciąg dalszy).



X. Bosko udał się niezwłocznie do więzienia, aby przygotować swoich 300 więźniów do przyjęcia tak niesłychanej łaski. Wieczorem, we wigilię tego pamiętnego dnia, zebrał wszystkich razem i przemówił do nich w te mniej więcej słowa:

— Moi drodzy chłopcy, przynoszę z sobą nowinę, która sprawi wam wielką radość. W nagrodę za wasze do mnie przywiązanie, oraz za dobre prowadzenie się już od dłuższego czasu, a mianowicie, żeście tak dobrze odpowiadali lichej mojej pracy w ciągu tych rekolekcyi, udałem się do p. Starosty, a następnie do p. Ministra i uzyskałem dla was pozwolenie na wycieczkę aż do Stupinigi.

— Chłopcy usłyszawszy te słowa, podnieśli okrzyk i hałas nie do opisania. Gdy dali upust zrozumiałej dla nas radości, X. Bosko skinął ręką na znak milczenia i tak mówił dalej:

— Sami widzicie, iż to łaska wielka, łaska jedyna, jakiej dotychczas jeszcze nigdy nie udzielono.

— Niech żyje p. Minister! Niech żyje X. Bosko! — krzyczeli na całe gardło rozradowani chłopcy.

— Tak jest, cześć p. Ministrowi! Ale teraz słuchajcie moi drodzy, co najważniejsze. Ja zaręczyłem słowem, że będziecie się sprawowali dobrze i to wszyscy, od pierwszego do ostatniego, tak że nam nie będzie potrzeba ani żandarmów, ani policyantów, oraz, że jutro wszyscy co do ostatniego powrócicie do tego mieszkania. Czy mogę być spokojny, co do waszego zachowania się? Czy mogę być pewny, że nikt z was nie ucieczę?

— Tak, tak! Niech nam X. Dobrodziej zaufa; będziemy grzeczni, będziemy grzeczni. — Tak wrzeszczeli wszyscy.

Jeden z większych wyprostował się ogromnie i zawołał: Do milion kroćset jasnych huraganów! Gdyby komuś przyszła chętka drapnąć, puściłbym się za nim i podarł go na strzępy.

— Ja zaś, wyrwał się inny, niemniej krewki towarzysz, — kamieniem rozbiję czaszkę temu, co sprawi Księdzu jaką nieprzyjemność.

— Tak jest, nie wróci żywo do domu ten łotr, któryby się ważył w jakikolwiek sposób shańbić naszą sprawę, zawołał jakiś 18-letni herkules.

— Dosyć, dosyć — rzekł X. Bosko — ten sposób mówienia nie przystoi i sprawia mi przykrość. Mam zaufanie do was wszystkich, wiem, że wy wszyscy dobrze mi życzycie i że żaden z was nie sprawi mi przykrości. Tymczasem zapowiadam, że jutro całe miasto będzie miało oczy na was zwrócone. Jeżeli sobie który źle postąpi, ucierpią na tem wszyscy, a ja, ja pierwszy ucierpiałbym najwięcej, co się wam wystarałem o tę łaskę; ludzie mogliby słusznie twierdzić, że byłem nierozumnym i dałem się okpić. Również i wy ucierpielibyście wielce, bo uważanoby was odtąd za chłopców niegodnych ludzkiego zaufania. A potem, na cóżby się zdała ucieczka? Chyba musiałby ktoś mieć skrzydła — bez nich za godzinę, dwie, lub co najpóźniej, na drugi dzień zostałby pochwycony na nowo i wsadzony do gorszego jeszcze więzienia. Natomiast, jeżeli wszyscy zachowacie się dobrze i bez korowodów powrócicie wieczorem do domu, kto wie, czy wam panowie i w przyszłości nie użyczą tej łaski i tak od czasu do czasu będziecie mogli cieszyć się podobnemi wycieczkami... Ale to wszystko są powody czysto ludzkie; pozostaje, moi drodzy chłopcy, jeszcze jeden o wiele ważniejszy. Wyście dopiero co uczynili przed Bogiem najmocniejsze postanowienie, iż chcecie odtąd być dobrymi i nie obrażać Go już więcej. Otóż On patrzy na was z nieba i chętnie błogosławić wam będzie, jeżeli pozostaniecie wiernymi waszemu postanowieniu. Dajcie więc jutro niezbity dowód szczerości i nieugiętej mocy waszych postanowień. Wszyscy na rozkazy! Precz z nieposłuszeństwem, z kłótniami, ze swarami. Czy mi to przyrzekacie?

— Tak jest! przyrzekamy! Słowo honoru! Zobaczy X. Dobrodziej! — A jeden dodał:

— X. Dobrodziej będzie naszym naczelnym wodzem i w imieniu moich towarzyszy zapewniam Księdza, że żaden generał nie miał nigdy dotąd posłuszniejszych i karniejszych żołnierzy!

Po takiem zapewnieniu X. Bosko przeszedł do wyłuszczenia jutrzejszego porządku dziennego, poczem pożegnał młodzież słowami: Do widzenia, jutro!

Biedne chłopczyska nie posiadały się z radości i od tej chwili zachowały się tak spokojnie i tak ulegle względem stróżów, jak nigdy dotąd.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszył X. Bosko drogą ku Stupinigi, małej wiosce z królewskim parkiem, oddalonej o 4 mile (włoskie) od Turynu. Tam ich oczekiwał X. E. Amaretti,

serdeczny przyjaciel X. Bosko. Przed nimi postępował osiołek obładowany prowiantami na cały dzień. Wzruszającą była tkliwość, jaką otaczali X. Bosko. Skoro zauważyli, że nieco się zmęczył, w mgnieniu oka pozdejmowali z osiołka prowianty i zmusili X. Bosko wsiąść na niego, a dwóch najsprawniejszych pochwyciło za cugle długouchego wierzchowca.

W Stupinigi zaprowadził X. Bosko chłopców do kościoła, odprawił Mszę św., a potem sprawił im wesołe i obfite śniadanie, obiad i podwieczorek; przez cały czas zajmował ich najróżniejszemi zabawami. Niepodobna opisać, co za radość jaśniała na twarzach tych szczęśliwców.

Ich zachowanie było beznaganne. Najmniejszy spór nie zamącił spokoju tego dnia, a X. Bosko nie potrzebował używać ani upomnienia, ani nagany, aby utrzymać ich w porządku. Wieczorem wrócili wszyscy do swego smutnego domu, ale z większą rezygnacyą i uleglejsi niż przedtem.

Minister oczekiwał niecierpliwie wyniku wyprawy. Mimo wiary, jaką miał w słowo X. Bosko, nie czuł się całkiem spokojnym. X. Bosko udał się niezwłocznie do niego i wprawił go w zdumienie, opowiadając o świetnym wyniku całej wycieczki.

Jestem X. Dobrodziejowi wdzięczny za to, co uczynił dla młodych naszych więźniów; ale chciałbym się dowiedzieć przyczyny, dlaczego rząd nie ma na tych chłopców owego wpływu, jaki wywarł na nich X. Dobrodziej?

Ekscelencyo! — odrzekł X. Bosko, siła, jaką my rozporządzamy, siła moralna, to zupełnie coś innego niż państwo, mogące tylko rozkazywać i karać; my przeciwnie przemawiamy przedewszystkiem do serca, a nasze słowo jest słowem Bożem.

I p. Minister musiał się przekonać, że kościół posiada jakąś tajemniczą siłę, której nie czerpie z ziemi, a której prześladowania ludzkie nie złamią: więc rzekł do X. Bosko:

— Wy możecie panować nad sercem młodzieży, my bynajmniej; to dziedzina zastrzeżona dla was.

W taki to sposób mógł przekonać się namacalnie o skuteczności systemu uprzedzającego w wychowaniu chłopców najuporczywszych.

Zdarzenie to wspomina dziennik urzędowy (*Bollettino Ufficiale delle Carceri*) głównej dyrekcyi więzień, r. XVIII 1888, zeszyt 1-2, str. 85.

Nie było ono pierwszem i ostatniem; weszło ono z czasem w tradycyę, a ostatni raz po obna wycieczka, aczkolwiek w formie nieco odmiennej, odbyła się w czerwcu zeszłego roku do Valsalice, na grób tego, który pierwszy wyrobił dla biednych skazańców pozwolenie chwilowego wyjścia na świat Boży.

W Valsalice chłopcy zostali przyjęci przez tamtejszych kleryków liceistów, którzy z młodzieńczą serdecznością zakrzątnęli się koło tej „wybranej“ cząstki społeczeństwa. Sami służyli im do stołu, oprowadzali po zakładzie, zorganizowali szaloną partyę w harce, a nakoniec podzieliwszy ich między siebie na małe grupy, spędzili z nimi godzinkę na serdecznej pogadance, z której chłopcy odnieśli wiele pociechy, a klerycy jeszcze więcej praktycznych spostrzeżeń.

Obyż tak i u nas, zamiast czytać różne dzieje grzechu, pomyślano w praktyczny sposób poznać nędze życia ludzkiego i przyjść im z rychłą pomocą. Początek i przykład takiej pracy dały już panie polskie w Krakowie, które bez statutów, bez żadnego szumnego programu, lecz jedynie w porozumieniu z władzami, chodzą w oznaczone dni do domu karnego i tam na serdecznych pogadankach, zajmującem i pouczającem czytaniem, pocieszają i starają się poprawić te biedne, upadłe istoty. Jaka szkoda, że ta praca tak zbawienna bywa prawie pomijana milczeniem przez nasze Pisma, podczas gdy nam potrzeba tak bardzo dobrych przykładów, aby siebie i innych zapalać do energicznej pracy.

Daj nam Boże znaleźć jak najprędzej na łamach katolickich dzienników nową rubrykę zatytułowaną: „*Exempla trahunt...*“

(*C. d. n.*).

Jak X. Bosko mówił i pisał dla dzieci.

Żydzi, mahometanie, protestanci, schyzmatycy, ci prawdziwej religii nie mają, bo nie otrzymują jej z Kościoła Katolickiego, Kościoła samego Jezusa Chrystusa, jedynego głosiciela prawdy i prawnego tłómacza nauki Boskiego Mistrza.

Największym błędem żydów jest to, że oczekują jeszcze przyjścia Mesyasza i nie wierzą w Jezusa Chrystusa i Jego Ewangelię.

By się zbawić, żydzi powinni uznać Jezusa Chrystusa za Mesyasza, przyjąć chrzest, następnie zachowywać przykazania Boskie i kościelne.

Kto jest twórcą religii mahometańskiej? — Mahomet, który rozsiał swe błędy na początku siódmego wieku ery chrześcijańskiej. Religia jego jest mieszaniną żydowstwa, chrześcijanizmu i pogaństwa z dodatkami, zmianami i bajkami, które obalają wszelkie zasady zdrowej moralności.

Grecy schyzmatycy uznają za twórcę swej religii Focyusza, słynnego patryarchę Konstantynopolitańskiego, który w IX wieku zbuntował się przeciwko papieżowi rzymskiemu.

Kto był założycielem protestantyzmu?

Kalwin i Luter; obaj w pierwszej połowie wieku szesnastego. Kalwin, świętokupca, został za sromotny występek skazany na surową karę. Luter, zakonnik, który klasztor opuścił, by się oddać rozpuście, poślubił zakonnicę związaną ślubami, chociaż sam był złożył śluby uroczyste i wieczyste.

Czy ci ludzie jak Mahomet, Focyusz, Kalwin i Luter dowiodli, że byli posłańcami Boga? Bynajmniej!

Nie byli to ludzie od Boga posłani, nie czynili żadnych cudów, nikt od nich żadnego proroctwa nie usłyszał. Szerzyli swoje zabobony i błędy gwałtem i rozwiązłością. Religia ich popuściła cugli wszystkim występkom, otworzyła drogę wszelkiej rozpuście, tak że ich można uważać za wysłańców nie Boga, ale szatana.

Czy więc wyznawcy ich religii nie znajdują się w Kościele Jezusa Chrystusa?

Nie mając za Głowę Jezusa Chrystusa, nie mogą do Kościoła Jego należeć; ale, jak naucza św Hieronim. należą do synagogi Antychrysta, t. j. do Kościoła przeciwnego Kościołowi Jezusa Chrystusa.

Jak X. Bosko urabiał serca.

Nie wszyscy wszakże zbliżali się z tak dziecięcem przywiązaniem do X. Bosko. Bywały czasem wyjątki dość znaczne; lecz i do ucha takich chłopców dochodziło nieraz znienacka jego słowo i wywierało swój skutek. Spostrzegłszy w jakiem gronie małego zapaleńca, przebojem narzucającego innym swoje opinie, X. Bosko zbliża się do gromadki, przerywa chłopcu, przywołuje go do siebie i mówi: „Trzeba nam się wziąć do pewnej pięknej rzeczy." — A gdy się chłopiec pytał, do jakiej to rzeczy, dodawał do ucha: « Trzeba nam urządzić porządne pranie, abyś mógł stać się przyjacielem Boga i być pod opieką Matki Najśw. »

A znowu, gdy inny, porwany szałem gry rekreacyjnej, biegał jak szaleniec, X. Bosko nagle go zatrzymuje i pyta:

— Jak się masz?

— Doskonale! proszę X. Dobrodzieja.

— I co do duszy?...

Na to pytanie chłopiec zakłopotał się, spuścił oczy, potrząsł głową i westchnął.

— Gdybyś dzisiaj, tej nocy umarł, byłbyś zadowolony?

— Niekoniecznie.



TURYN — Pierwsza Komunia św. chłopczyków Kaplicy Świątecznej.

— A więc kiedy pójdziesz się wyspowiadać?

— Jutro rano... nawet w tej chwili!

I zazwyczaj dotrzymywał słowa. Zdarzyło się, że chłopiec jakiś unikał starannie spotkania X. Bosko, nie mogąc znieść jego spojrzenia. Takiego miał on nieustannie na oku, a skoro spostrzegł go w jakiej gromadce, zajętego rozmową, zbliżał się niepostrzeżenie do grona i stanąwszy za plecami upatrzonego, chwytał go za głowę, zakrywając mu jedną ręką oczy. Chłopcu ani na myśl nie przychodziło, żeby to mógł być X. Bosko, lecz sądząc, że to któryś z towarzyszy, począł zgadywać, potem niecierpliwić się, krzyczeć: puść mię! a czasem pozwolił sobie na jaki wybryk. Wtenczas ręce się usuwały, chłopiec raptownie obracał się: Oh! X. Bosko! Niepodobna opisać zakłopotania, w jakiem znajdował się wtenczas biedaczyna. Zarumieniony, z nosem spuszczonym na kwintę brał rękę X. Bosko, ażeby ją ucałować, a X. Bosko pyta: Czemu mnie unikasz?

— Ja? bynajmniej!

— A więc będziemy przyjaciółmi? Słuchajno: i podczas gdy mówił mu do ucha, chłopiec przytakiwał głową.

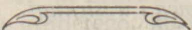
Gdy z podróży wracał do Oratoryum, wychowankowie biegli na jego spotkanie i w szalonej radości cisnęli się do niego. Jeżeli któryś trzymał się zdala, znak to był nieomylny, że ukrywał coś w sercu. Ale przez długie lata liczba takich ograniczała się do 2 lub 3. Skoro ich spostrzegł stojących poza innymi, odzywał się do chłopców: Przywiozłem niektórym z was piękny podarunek. Zgadnijcie komu?

Chłopcy poczęli wymieniać najlepszych.

— Chcę go dać tamtym!

Wszyscy obracali się w stronę osobników, osłupiałych wobec takiej niespodzianki, lecz X. Bosko przyzywał ich po imieniu, prosił ku sobie, podczas gdy inni chłopcy rozstępowali się, czyniąc im wolny dostęp do niego. Biedaczyka znaleźli się w sieci. X. Bosko szepnął każdemu słówko do ucha, a oni tegosamego wieczora lub nazajutrz przystępowali niechybnie do spowiedzi.

X. Arcybiskup Cagliero zaznacza: Często takie słówko do ucha było jakoby strzałą rozpaloną, a my żyjąc przy jego boku, czuliśmy się zapaleni miłością ku Bogu i ku X. Bosko, tak bardzo nas kochającemu w Panu: — Wszystko dla Pana Boga i dla Jego chwały! — Oto codzienne jego hasło, odbijające się po tysiące razy o uszy moje, a on powtarzał je głośno i wszędzie, z kazalnicy, w konfesyonale, w rozmowie. To stanowiło jedyne i gorące jego pożądanie w ciągu całego życia.





Myśli i zdania X. Bosko.

Znajdzie się taki, co powie: „Nie śmiem często komunikować, bo zawsze popadam w tesame uchybienia.“ Ależ jeśli się powstrzymasz od Komunii św., częściej i jeszcze w większe błędy będziesz upadał, bo powstrzymując się od Chleba mocnych, wzmagasz wciąż swoją ospałość i nakoniec umrzesz.

Ojcowie i matki! Jeśli chcecie dobrze wychować dzieci, tak, by stanowiły waszą pociechę w starości, starajcie się o nauczenie ich Religii i to już w młodszym wieku. Pilnujcie ich i doglądajcie, czy chodzą do kościoła, czy wdawają się w towarzystwa ze złymi kolegami.

Biada temu, który daje zgorszenie, mówi Jezus Chrystus; lepiej byłoby, gdyby mu uwiązano kamień młyński u szyi jego i zatopiono w głębokości morskiej.

„... Nie posiadam bogactw, by czynić jałmużnę.“ Jeśli nie posiadasz bogactw, to daj ile możesz. Zresztą nie brak ci środków i sposobności dawania innego rodzaju jałmużny. Czy nie ma chorych do nawiedzania, do wspomagania, do czuwania przy nich? Czy nie ma młodzieży opuszczonej do zbierania i uczenia, przyjmowania w twoim domku, jeśli możliwe, a przynajmniej do zaprowadzenia jej tam, gdzieby się mogła nauczyć prawd wiary i zbawienia? Czy nie ma grzeszników do napominania, wątpiących do pokierowania, uraz do przebaczania?

Można powiedzieć, że w nowem Prawie niema Świętego, któryby nie uznawał źródła swego uświęcenia we wstawiennictwie Maryi. Historya nam mówi, że najznakomitsi z nich byli też Maryi najpobożniejszymi czcicielami.

Misye Salezyańskie.

CHUBUT.

Obfita w owoce wycieczka misyina.

NAGLĄCA POTRZEBA GORLIWYCH MISYONARZY.

Podajemy niniejszem pierwsze wieści o apostolskiej podróży misyonarza Franciszka Vidala, poprzez ziemie czubuckie, w towarzystwie kleryka Jakóba Kaczmarczyka.

Esquel, 15 lutego 1911.

Wyruszyliśmy 5-go stycznia z *Rawson* i trzymając się wciąż rzeki *Chubutu*, ścieżkami słabo wydeptanemi, górzystemi, wśród wielkiego braku paszy dla koni, napotykając nader rzadko na mieszkania ludzkie, dotarliśmy do *Paso de los Indios*, odległego 400 klm. od Rawson.

Z *Paso de los Indios* zawróciliśmy bardziej na lewo, ku *Languiñeo* (krawawe pole), gdzie jest znaczniejsze środowisko Indyan, odległe 200 klm. od *Paso*, a położone bardzo wysoko. Noc zaskoczyła nas na najwyższym punkcie przełęczy, konie nie chciały iść dalej, a wiatr dął lodowaty. Chcąc niechcąc, musieliśmy się tamże zatrzymać, chociaż nie mogliśmy znaleźć innej wody, tylko słoną, co stała się powodem straty kilku koni. Jest nadzwyczaj trudną podróż poprzez te pustynie.

Dwudziestego drugiego stycznia dostaliśmy się do *Languiñeo*, gdzieśmy zostali gościnnie przyjęci w *estancia* pana Conti'ego: tutaj po raz pierwszy po długiej drodze danem nam było spocząć pod dachem. W przeciągu dziesięciu dni, dzięki ruchliwości gospodarza, co postarał się o to, by wszyscy Indyanie dowiedzieli się o moim przybyciu, udzieliliśmy 80 chrztów, 80 bierzmowań, 11 małżeństw cywilnych i kościelnych. Co za pociecha dla nas widzieć tak obficie wynagrodzone nasze trudy! Indyanie byli obecnymi na Mszy św. i słuchali nauki z taką uwagą, że mamy nadzieję, iż to ziarno Boże niebawem zejdzie w ich sercach i przyniesie zbawienne owoce.

Wyruszywszy z *Languiñeo* i otarłszy się o inną fermę, zwaną *Chizanza* (dolina wiatrów), dotarliśmy do *Teca* 3 lutego, ochrzciwszy po drodze troje dzieci. Teca znajduje się w okolicy uroczej i niebawem stanie się wioską. Poczciwi tam chrześcijanie pragną mieć swoją kapliczkę i szkółkę katolicką u siebie, bo protestańci pozakładali po osadach swoje kościoły i szkoły z wielkiem niebezpieczeństwem dla wiernych. Tutaj zatrzymaliśmy się cztery dni, w czasie których udzieliliśmy 20 chrztów i 26 bierzmowań.

Stamtąd, przecinając prześliczną dolinę, doszliśmy do *Arroio Pescado*, gdzie się znajduje wielu protestantów, którzy zakupiwszy ogromne przestrzenie ziemi, zakładają na nich osady. My zatrzymaliśmy się u pewnej rodziny ubogiej, ale bardzo uczynnej, która postarała się o to, by cała okolica dowiedziała się o naszem przybyciu. Niech jej Bóg wynagrodzi za wszystko, co dla nas uczyniła. Tutaj udzieliliśmy 14 chrztów, 15 bierzmowań, 7 Komunii i spowiedzi (pierwsze w całej naszej dotychczasowej podróży) i dwu małżeństw.

Puściliśmy się w dalszą drogę i zawadziliśmy o dom kacyka *Nahuelpana*, a poleciwszy mu, by zebrał cały swój lud, gdy będziemy przechodzili z powrotem, podążyliśmy dalej aż do *Esquel*.

Esquel, położone wśród wysokich gór i w malowniczej okolicy, staje się wioską. Ma już wiele domostw, a wciąż budują się nowe. Ludność domaga się kościoła i szkoły lub zakładu, bo i tutaj jest szkoła, ale protestancka.

Jest naglącą potrzebą, by w tych okolicach wznosić kościoły i zostawić na stałe kapłana, bo taki chwilowy pobyt misyonarza nie wiele przynosi korzyści i ludność zatraca wiarę.

Zwiedziliśmy szkoły w *Languiñeo* i w *Nahuelpan* i przyznać trzeba, że nauczyciele mają wiele gorliwości w nauczaniu Indyan. X. Vidal odprawił Mszę św. w obecności uczniów, wypowiedział im kilka nauk i obdarował każdego katechizmem. Są to szkoły mieszane, ale dobrze unormowane i z wykładem religii. *Chwała Bogu!* Jest to dobra pomoc dla nas i potężny hamulec przeciwko propagandzie protestanckiej.

Ziemie Magielańskie.

Fuegińska wiedza ludowa (Folk'or).

(*Ciąg dalszy*).

Planety. — Planety — według zabobonnych *Onasów* — były pierwej ludźmi bezżennymi, dlatego błąkały się bez celu po wszystkiej ziemi, jak obecnie błąkają się po niebie.

W ich języku gwiazdy te zowią się błądzącemi, wałęsającemi się po niebie. O gwiazdach spadających powiadają, że „*pędzą na łowy*."

Słońce i księżyc. — Z początku słońce i księżyc były ludźmi: słońce mężem, księżyc żoną. Gdy raz przyszło do gwałtownej sprzeczki pomiędzy nimi, mąż potłukł i poparzył żonie twarz (stąd plamy na księżycu) i dotąd jeszcze zaciekle gonią się po stropie niebieskim, ale dogonić się nie mogą, bo kiedy słońce, prędsze od księżyca, dopędza go w pogoni, on staje się coraz cieńszym i znika zupełnie, gdy słońce przechodzi tuż mimo niego. A skoro tylko przeszło, księżyc na nowo wychyla głowę ze swojej kryjówki i stopniowo rośnie i staje się wielkim i pełnym jak pierwej, śmiejąc się całą twarzą ze słońca, gdy jest najbardziej odeń oddalone. Wtedy słońce spostrzegłszy, że się dało oszukać, poczyna na nowo doganiać księżyca, który po swojemu chowa się stopniowo do swej kryjówki, w miarę, jak słońce go dopędza.

Zobaczymy później, jaka jest przyczyna tej nieprzyjaźni między słońcem a księżycem.

Co dotyczy samego księżyca, posiadają jeszcze inne zabobony; wierzą mianowicie, że on jest istotą żyjącą, która pożera dzieci. Gdy jest chudy (to znaczy, gdy się zbliża do nowiu), kryje się w zaroślach i nie powraca na niebo, dopokąd nie pożarł jakiego dziecka i nie stał się grubym i pełnym. Z tej przyczyny, gdy księżyca ubywa, matki polecają dzieciom, aby się nie oddalały od *toldos*, inaczej wystawiają się na niebezpieczeństwo pożarcia przez księżyc. Dzieci są posłuszne i truchleją; ale skoro tylko widzą księżyc w pełni, wyskakują z radością na świat i śpiewają gromadami : *Już się księżyc najadł, ale mnie nie pożarł.*

Dzień i noc. — W dawnych a bardzo dawnych czasach, gdy słońce poczęło pędzić za księżycem, był zawsze dzień, a nigdy noc, a to z przyczyny, że te dwa ciała biegały wciąż nad widnokręgiem. Chcecie zaś wiedzieć, odkąd słońce zapada wieczorem a podnosi się rano? Oto od czasu, gdy bohater *Kuanip* chciał pojąć za żonę pewną dziewczynę, która mu się opierała, mówiąc: nie pójdę za mąż, bo słońce i księżyc na mnie spoglądają.

Wtenczas *Kuanip* piękną pieśnią rozkazał słońcu i księżycowi, by się na chwilę skryły i, tak się rzeczywiście stało. Ale niedługo zjawiły się ponownie, później skryły się napowrót i tak coraz więcej przedłużały swój pobyt pod ziemią, a skracały długość bytu nad nią; przyjdzie czas, że słońce i księżyc nie pokażą się już więcej na ziemi i nastanie noc wieczna.

Nie wiadomo, czy ten zabobon zawiera w sobie jakie starodawne podanie; w każdym razie zdaje się wskazywać na to, że kiedyś owi Indyanie zamieszkiwali ziemie podbiegunowe, w których, jak wiadomo, dzień trwa sześć miesięcy, po których nastaje sześciomiesięczna noc.

Wiatry. — Cztery wiatry: *północny, wschodni, południowy* i *zachodni*, gdy jeszcze były ludźmi, pobiły się między sobą, a zwycięzcą został zachodni. Toż ilekroć zjawia się wiatr zachodni, wszystkie inne uciekają. W rzeczy samej, w Patagonii najsilniejszym jest wiatr zachodni.

Potop. — Posiadają niedokładną wiarę w fakt, że niegdyś wszystkie ziemie zostały zalane wodami z rozkazu *Kuanipa*.

Dlaczego liście „Roblu" czerwienieją w jesieni. — Bezmierne a miejscami nieprzebyte lasy Ziemi Ognistej składają się przeważnie z czterech gatunków buku, z których najpospolitszym jest *roble*. Jego liście jesienią czerwienieją, tak że *Onasowie* oznaczają tę porę roku słowami: „*Gdy drzewa czerwienieją*." Atoli w naj dawniejszych czasach nie tak było, lecz wszystkie drzewa miały zawsze liście zielone. Oto zdarzyło się pewnego razu, że młodzieniec, nazwiskiem *Kamschoat* udał się daleko, daleko, na północ, gdzie jest o wiele cieplej (trzeba pamiętać, że Ziemia Ognista znajduje się blizko bieguna południowego, który jest tak lodowaty, jak biegun północny; zatem oddalając się na północ, to znaczy ku równikowi, dochodzi się do strefy gorącej). Powróciwszy stamtąd, począł twierdzić, że tam wiele drzew ma zielone liście latem, a czerwone jesienią. Onasowie nie dali mu wiary, wskutek czego młodzieniec jeszcze raz puścił się na północ, a następnie powrócił w postaci papugi, zwanej „*kitorrą*" (mały ptak w Ziemi Ognistej, o zielonem upierzeniu, z wyjątkiem czerwonej piersi). Przybył cały pokryty czerwonymi liśćmi, by je pokazać niedowiarkom. Przyleciawszy do *Onasów*, usiadł na drzewach, których korona za jego zbliżeniem szczerwieniała. Miałażby może w tym micie być zawarta tradycya o zmianie flory w okresie polodowatym?

Ptak Karkai. — Jestto wielki sokół, po hiszpańsku zwany *carancho;* o nim są dwa podania. Jedno z nich tłómaczy pochodzenie ego czubka, który nosi na głowie, jak nasz dudek. Gdy jeszcze był człowiekiem, tak głosi baśń ludowa, kłócił się ze wszystkimi.

Otóż bijąc się raz z drugimi, zadał przeciwnikowi potężny cios w kręgosłup, ale swoją drogą jego samego uchwycono za czuprynę i dobrze naciągniono mu jej do góry. Obaj walecznicy, stawszy się ptakami, zatrzymali znaki odbytych bojów: *Karkai* — czubek piór na głowie; a jego przeciwnik, *Keu* — sztywny grzbiet. Istnieje w rzeczy samej w Ziemi Ognistej gatunek kaczek morskich, które mają chód bardzo niezgrabny i postawę całkiem sztywną.

O *Karkaju* istnieje jeszcze inna baśń. Polując na niego, trzeba go koniecznie ugodzić na śmierć, inaczej, jeżeli słabo ugodzony zdoła jeszcze krzyczeć, wzywa śnieg na pomoc. Czasem zdarzyło się, że zraniony *karkai* krzyczał w ciągu dnia, a następnej nocy spadł śnieg, co utwierdziło i wciąż jeszcze utwierdza *Onasów* w ich zabobonnem mniemaniu.

Ptaki wyśmiewają niesprawnych strzelców. — Gdy *Onasowie* na polowaniu nie mają szczęścia i nic nie ubiją, a słyszą, jak ptaszek jaki śpiewa im nad uchem, wpadają w gniew i starają się go zabić, twierdząc, że się z nich natrząsa temi słowami: *Gdym ja był człowiekiem, nigdy nie wracałem do domu bez mięsa.*

Sowa biała (okricon, samiec) i nietoperz (oklta, samica). Zanim stały się zwierzętami, były bratem i siostrą.

Okricen był najpiękniejszym, najmocniejszym i najdzielniejszym strzelcem na guanaki; *Oklta* najpiękniejszą z kobiet. Nikt, ni jedna ni druga strona nie chciała zakładać własnego gniazda, bo *Okricen* nie mógł znaleźć kobiety tak pięknej, jak jego siostra, a *Oklta* żadnego młodziana tak nadobnego i silnego, jak jej brat. Żyli przeto wspólnie, zadowoleni z rodzinnego przywiązania. Ale gdy się zjawił *Kuanip*, nastały kłopoty. On pokochał *Okltę*, a na domiar złego, i jej spodobał się *Kuanip*. Ale Okricon nie chciał słyszeć o tem małżeństwie i powtarzał siostrze: „Nie wychodź za *Kuanipa,* bo on już ma inne żony, on rychło zapomni o tobie i będziesz musiała słuchać innych jego żon; nie będziesz miała do jedzenia mięsa guanaków, ani skór do pokrycia, ani pięknych piór do strojenia się.

Gdy się *Kuanip* dowiedział o tych pięknych naukach, wpadł w gniew i zamienił *Okricena* w sowę, ptaka złej wróżby; wtedy *Oklta* już go nie chciała mieć za męża, więc ją zamienił na brzydkiego i źle wróżącego latawca: w nietoperza. Dokonując tych przemian, Kuanip tak mówił do pierwszego: „Otóż ty nie będziesz mógł więcej polować na guanaki, ale nocną porą będziesz gonił za szczurami, a nie będziesz w stanie znosić światła słonecznego, bo twój wzrok tego nie wytrzyma."

A do drugiej tak rzekł: „Ty będziesz brzydszą od twego brata: nie będziesz mogła patrzeć na światło dzienne: będziesz się kryła za dnia, a nawet cień twój będzie niebezpieczny. Będziesz się karmiła robakami, zamiast mięsa guanakowego.

Dla tego zaklęcia, które się rzeczywiście spełniło, oba te latawce są dla *Onasów* złą wróżbą.

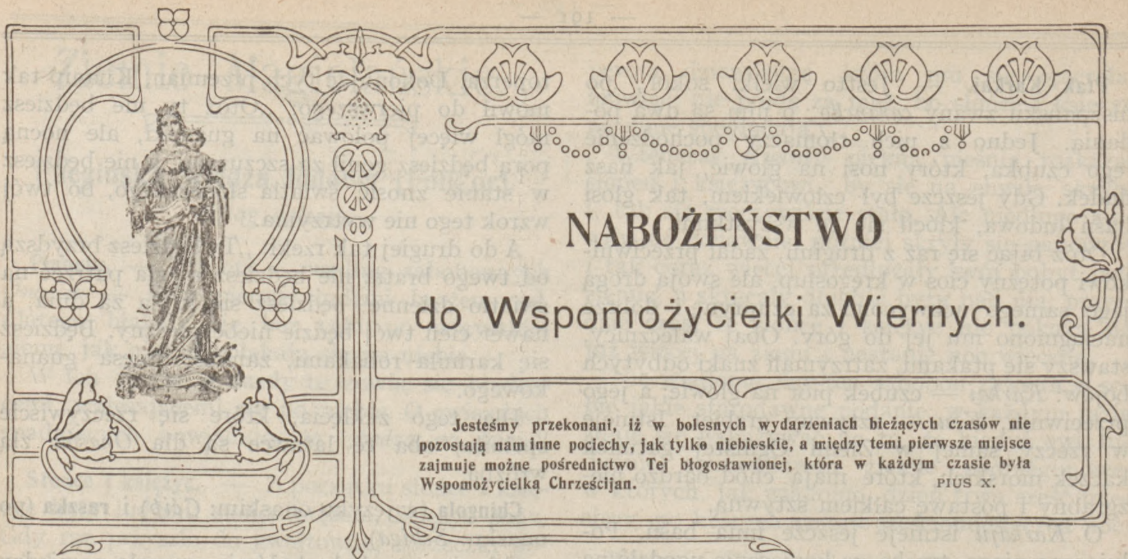
Chingola (w języku onaskim: *Cćip*) i **raszka** (po onasku: *Schiga*).

Gdy jeszcze były ludźmi, przyszło pomiędzy nimi do sporu, który skończył się bójką. Z niej przeciwnicy odnieśli następujące znaki, które zachowali i potem, gdy już zostali zamienieni w ptaki: *chingola* potargany za włosy i szyję, zachował czubek piór na głowie; a *raszka,* otrzymawszy porządne uderzenie w nos, zalała się krwią, która jej piersi zabarwiła na czerwono.

Parturient montes. — Wieloryb (*Ocen*) połączył się z wiatrem (*Schiuno*) i z małżeństwa tego urodził się kto? koliber (*Schiunoktau*).

Inne przemiany. — Według *Onasów,* wielu ludzi po śmierci staje się ptakami, najsprawniejsi w wyrabianiu strzał stawają się białemi sowami, w ich języku zwane *scêt.* W Ziemi Ognistej jest wiele kamieni czy krzemieni, które mają kształt strzały i *Onasowie* zbierają je, przechowują skrzętnie ze czcią, jako niezawodne talizmany, bo są przekonani, że one zostały obrobione przez najdzielniejszych strzałowników, zanim jeszcze zostali zamienieni w sowy. Z tej to także przyczyny nikt się nie odważy zabić białej sowy; mają nawet strach przed piórami tychże, twierdząc, iż one mogą sprowadzić różne nieszczęścia.

Pewnego razu szedł przez las Indyanin w towarzystwie kilku cywilizowanych. Gdy zobaczyli na ścieżce krówkę dwurożną czyli małego owadka, Indyanin podniósł ją z uszanowaniem i położył na ustroniu w trawie, gdzieby jej nikt nie mógł podeptać. Zapytany, dlaczego to robi, odpowiedział, że ten owadek był niegdyś znakomitym lekarzem onaskim, który później zamienił się w krówkę. O drzewach powiadają, że płaczą lub narzekają, stosownie do tego, jaki duch w nich zamieszkał. Ostatecznie jest rzeczą całkiem pewną, że Onasowie wierzą w nieśmiertelność ich duszy, którą oni nazywają (*men*), to znaczy: cień. (*C. d. n.*).



NABOŻEŃSTWO
do Wspomożycielki Wiernych.

Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan. PIUS X.

OSTATNIE PRAGNIENIE DUSZY.

Marya jest dla nas najsilniejszem pożądaniem serca. Niedawno byłem świadkiem, jak dusza młodziana, porażonego udarem słońca, szamotała się w walce przedzgonnej. Nie czuł, nie widział, nie słyszał nic z tego, co się naokoło niego działo, dopiero gdy się o ucho jego odbiło słodkie imię Maryi, odpowiedział na nie nagłym, chwilowym spokojem i choć pozbawiony przytomności, powtarzał je często i gorąco (1).

Nie zapomnę nigdy w życiu tej sceny. Wtenczas to poznałem, co za znaczenie mają słowa Dominika Savio, wypowiedziane do X. Bosko w pewnem widzeniu: ,,Największą dla mnie pociechą w godzinie śmierci było to, żem miał przy sobie obecną Maryę.'' — *Rzeczywiście, jeżeli samo imię Maryi, wypowiedziane ustami śmiertelnemi, potrafiło uspokoić duszę konającego, cóż dopiero, gdy słodkie to imię zaśpiewają konającemu Aniołowie niebiescy, albo gdy Marya osobiście przyjdzie pocieszyć Swego czciciela?!*

Przezacni Pomocnicy i Czcigodne Pomocnice, wszyscy, cośmy za przyczyną Maryi uzyskali jaką łaskę duchowną lub doczesną, wszyscy co, pracując dla Jej chwały, odczuwamy już teraz niewypowiedzianą jakowąś słodycz w tej pracy, jakowyś zapał, wszyscy, wszyscy życzmy sobie nawzajem, byśmy mogli mieć Maryę przy boku w godzinie śmierci naszej. Gdy świat zewnętrzny, gdy ziemia rodzicielka ze wszystkiemi rzeczami zgaśnie dla zmysłów naszych, wtenczas dusza całą siłą swej istoty pożądać będzie Matki niebieskiej. Biada nam, gdyby w onej chwili to najpotężniejsze, to jedyne pragnienie duszy miało zostać niespełnione!

Pierwsi chrześcijanie żyli całkowicie pochłonięci myślą o Jezusie Zmartwychwstałym. A pomimo to, jakże potężnem było u nich pragnienie zobaczenia Matki Boskiej, o której wiedzieli, że jeszcze żyje wśród ludzi, pod opieką Ucznia, któremu Ją poruczył umierający Zbawiciel. Oto, jak św. Ignacy, biskup antyocheński, pisał w imieniu wiernych do św. Jana, umiłowanego Ucznia Chrystusowego.

,,Bracie, przykro nam, że opóźniasz Twoje przybycie. Jest tutaj bardzo wiele niewiast, co pragną oglądać Maryę, Matkę Jezusową, i każdej chwili byłyby gotowe puścić się do Was, by zobaczyć Tę, z której się narodził Jezus, dotknąć się Jej i usłyszeć coś o Niej. Albowiem niektórzy opowiadali, że Matka Boska jest w mierze przeobfitej przepełnioną wszelakiemi łaskami i przynosi owoce cnót najróżniejszych; powiadają, że w prześladowaniach i nieszczęściach pogoda i wesołość ducha nigdy Ją nie opuszcza; że w niedostatku i nędzy zawsze jest cierpliwą; że jest wdzięczną tym, co Ją oczerniają, a skromną w wesołości i szczęściu. Względem ubogich i zasmuconych słychać, że okazuje wiele litości i jest skora do pomagania im. Wiara broni Jej wytrwale i jest naszą Mistrzynią w nowej naszej wierze i w pokucie... Te i inne rzeczy poruszyły nas głęboko i czujemy nieprzepartą żądzę oglądania tego świętego widowiska. Więc zechciej Bracie, przybyć coprędzej z Nią do nas, aby zaspokoić wielkie nasze pragnienie Jej oglądania......''

Zapalmy się podobną żądzą oglądania tej naszej Matki Niebieskiej, a Ona z pewnością spełni tak święte pragnienie, jeżeli nie w ciągu tej ziemskiej pielgrzymki, to niezawodnie w ostatniej godzinie, kiedy będziemy mieli największą potrzebę Jej obecności i pomocy.

(1) Ów młodzieniec wyzdrowiał nagle, w sposób niemal cudowny, jak to będzie gdzieindziej opisane.

Uroczystości Maryi Wspomożycielki.

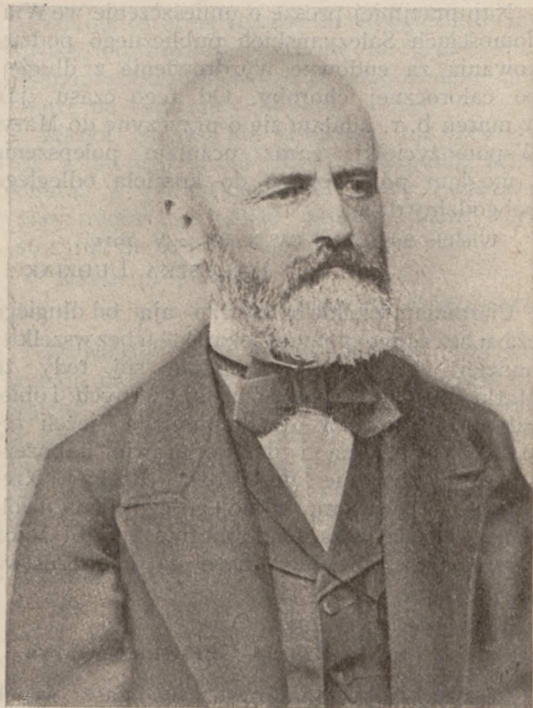
TURYN. — O uroczystości naszej ukoronowanej Wspomożycielki w Jej świątyni turyńskiej umieścił dziennik następujący artykuł, z dnia 25 maja b. r.

„Wczoraj katolicki Turyn rozwinął przy świątyni Maryi Wspomożenia wiernych na Valdocco akt intenzywnego i entuzyastycznego życia religijnego. Siła pociągająca tego święta, które przeszło już w tradycyę, staje się coraz szerszą w Piemoncie całych Włoszech i wzmaga się z każdym rokiem. Nie było wczoraj wioski piemonckiej, któraby nie miała swoich przedstawicieli w artystycznej świątyni, a na dziedzińcach, pod portykami i na placu przed świątynią słyszeć było można wszystkie narzecza i gwary całych Włoszech.

Zauważyliśmy ciągłą procesyę pątników do pokoiku X. Bosko i X. Ruy, zauważyliśmy także, że i dokoła czcinajgodniejszego Następcy X. Ruy wytwarza się aureola czci i uwielbienia. Wszyscy przyjaciele Dzieła X. Bosko, którzy w tych dniach przybyli do Turynu, szukali łagodnego oblicza X. Albery i zgodnie zauważyli, że w nim odżyła pogodna i pociągająca słodycz X. Ruy.

Nie silimy się opisywać szczegółowo funkcyi kościelnych, odprawionych z okazałością, jaką Salezyanie rozwijają tylko w dzień uroczysty ich niebieskiej Patronki. Nabożeństwo północne wypadło, jak po inne lata, wspaniale i ku ogólnemu zbudowaniu. Od północy aż do południa odprawiały się nieustannie Msze św. przy wszystkich ołtarzach, a Komunię św. rozdawano prawie nieustannie. Bogaty i doborowy program muzykalny został wykonany przez *Schola cantorum* kaw. maestra Doglianiego, wzmocnioną przez kilku dzielnych artystów z Turynu. Mszę św. pontyfikalną śpiewał Biskup z Fossano, a kazanie o Najśw. M. P. W. W. wypowiedział Biskup Mapelli, który słowem pełnem pobożnego namaszczenia uwydatnił potęgę Maryi, Wspomożenia wiernych, jako Matki Boga, Współzbawicielki rodzaju ludzkiego. Kaznodzieja streścił następnie w krótkich słowach dziejowe wypadki, w których się ujawniła w ciągu wieków potęga Maryi dla dobra ludu chrześcijańskiego.

I w tym roku punktem kulminacyjnym całej uroczystości była wspaniała procesya, która w potężnym, niekończącym się orszaku rozwinęła się w pośród dwóch zbitych fal ludności. Liczne były reprezentacye Związków ze sztandarami. Nie było żadnego wypadku; wszystko odbyło się w największym porządku, dzięki władzom publicznym, które spełniły, trzeba to przyznać na ich pochwałę, zadanie swoje beznagannie. Gdy procesya wstąpiła do świątyni, na placu pozostała zbita i niezliczona masa ludu. Błogosławieństwo Przenajśw. Sakramentem udzielone z wysokich gradusów świątyni przez Kardynała Arcybiskupa wszystkiemu temu ludowi, który się korzył przed Majestatem Bożym, było widowiskiem religijnem, które się ponawia co roku, lecz na które się nigdy nie spogląda bez głębokiego wzruszenia.



Kaw. inż. Antoni Spezia,
architekt Świątyni Maryi Wspomożycielki w Turynie.

Obszerne opisy uroczystości Maryi Wspomożycielki otrzymaliśmy również z Oświęcimia, Daszawy i Lublany, lecz nie było sposobu pomieścić ich w niniejszym numerze naszego Pisma. Czytelnicy znajdą je w całej rozciągłości w następnym numerze Wiadomości. Tymczasem miło nam podzielić się z czcigodnymi naszymi Pomocnikami pocieszającą wiadomością, że cześć i nabożeństwo dla naszej niebieskiej Patronki rośnie z dniem każdym coraz więcej, jak się można o tem przekonać

* *

choćby tylko z samych ogłoszeń różnych łask uzyskanych przez Jej wiernych czcicieli.

Daj Boże, ażeby ten piękny objaw religijności naszego ludu był zapowiedzią odrodzenia całego społeczeństwa.

Łaski Maryi Wspomożycielki.

Najuprzejmiej proszę o umieszczenie we Wiadomościach Salezyańskich publicznego podziękowania za cudowne wyzdrowienie z długiej, bo całorocznej choroby. Od tego czasu, jak w marcu b. r. udałam się o przyczynę do Maryi Wspomożycielki, zaraz uczułam polepszenie i mogłam pójść pieszo do kościoła odległego pół godziny drogi.

Wielkie Spytkówki (W. X. P.), 2 V. 1911.

AGNIESZKA DUDZIAK.

Cierpiałam wielkie boleści, zo . ają od długiego czasu bez żadnej pomocy lekarskiej i bez wszelkiej nadziei wyzdrowiena. Udałam się tedy to Matki Boskiej Wspomożycielki wiernych i obiecałam oznajmić w Wiadomościach, jeżeli zostanę wysłuchaną i dać odprawić nabożeństwo dziękczynne do Matki Boskiej. Rzeczywiście zostałam z mojego cierpienia uwolnioną. Dziękuję za to publicznie z głębi serca i przesyłam obiecaną ofiarę na nabożeństwo dziękczynne.

Zawodzie, 23. IV. 1911.

MARYA GREINERT, wdowa.

Zeszłego roku znajdował się nasz synek w bardzo niebezpiecznej, ciężkiej chorobie. W naszem zmartwieniu udaliśmy się do Boskiej Wspomożycielki wiernych, prosząc Ją o uzdrowienie dziecka i obiecując, iż w razie wysłuchania ogłosimy to jako łaskę w Wiadomościach Salezyańskich. Dziś z największą radością spełniamy nasze zobowiązanie, gdyż synek nasz wrócił niebawem do zupełnego zdrowia, za co składamy skromną ofiarę dziękczynną.

Rososzyca, 2. V. 1911.

JÓZEF i ELŻBIETA SOBCZAKOWIE.

W tymże samym liście pisze p. Katarzyna Kawaler: I ja będąc bardzo chorą, ofiarowałam się w mojem strapieniu Maryi Wspomożycielce i uzyskałam zdrowie, za co składam Jej publiczne podziękowanie i przesyłam skromną ofiarę na cele Salezyańskie.

***

Spełniając złożone przyrzeczenie, przesyłam w załączeniu skromną ofiarę na Mszę św. dziękczynną do Maryi i proszę uprzejmie o łaskawe umieszczenie w Wiadomościach Salezyańskich gorącego mego podziękowania dla Najśw. Maryi Panny Wspomożenia i Najsłodszego Serca Jezusowego za wszystkie doznane łaski, a w szczególności za łaskę, że mimo niebardzo dobrego zdrowia, co przeszkadzało mi w naukach, złożyłem z dobrym wynikiem ostatni mój egzamin prawniczy, i że w zdrowiu mojem nastąpiła zmiana na lepsze o tyle, że mogę pracować bez udręczenia.

Ropczyce, 2. IV. 1911.

Dr. HENRYK SZYMUSIK.

Z całego serca składam gorące podziękowanie Najsłodszemu Sercu Jezusa i Najdobrotliwszej Panience Wspomożenia wiernych za liczne łaski, które z rąk Ich otrzymałam. Gdy znajdowałam się nieraz w wielkiej potrzebie, gdy wszelkie usiłowania celem wydobycia się z nich, zdawały się daremne, wtenczas zawsze na gorące moje błaganie Jezus i Marya spieszyli mnie niegodnej z pomocą. Niechże Im za to będzie cześć i chwała od wszelkiego stworzenia!

Śniatyń, 2. IV. 1911.

F. PROKOPOWICZÓWNA.

W miesiącu styczniu b. r. wróciłem z dziećmi szkolnemi z sąsiedniej wioski z jasełek i mocno się w drodze przeziębiłem tak, że uczułem silne kłucie w piersiach. Mieszkam sam w całym domu — nikt nie mógł się podjąć jakiejkolwiek względem mnie pomocy — wyjść do sąsiadów nie mogłem, bo każdy oddech, każdy ruch sprawiał mi wielkie boleści. Gdym już zamyślał uczynić choćby rachunek sumienia, bo nie spodziewałem się dożyć następnego poranku, wzrok mój padł na statułkę Matki Boskiej; zebrałem resztki sił, padłem na kolana przed statułą i poleciłem się opiece Matki Boskiej Wspomożenia wiernych, przyrzekając, że jeżeli to kłucie przeminie, podziękuję Jej publicznie i prześlę ofiarę, jaką będę mógł, na cele Salezyańskie.

Po kilku minutach byłem już tak silny, że mógłem drzewa urąbać i w piecu sobie zapalić. Doznałem więc cudu, za który składam Najśw. Pannie skromny datek na cele Salezyańskie.

N. N.
nauczyciel ludowy.

Córka nasza zachorowała niebezpiecznie na oczy. Gdy wszelkie zabiegi ludzkie okazały się bezskuteczne, udaliśmy się o pomoc do Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki wiernych i do Najsłodszego Serca Jezusowego i prośba nasza została wysłuchaną.

Za to składamy publiczne podziękowanie Najśw. Sercu Jezusowemu i N. M. P. Wspo-

możeniu wiernych i polecamy się nadal Ich możnej opiece.

Lippink (Prusy Zachodnie) 11. IV. 1911.

JAN WEINER.

Składam serdeczne i publiczne podziękowanie Najśw. Maryi P. W. W. i św. Józefowi za uzdrowienie bratanków i za wiele innych łask, które ja i rodzina moja otrzymaliśmy, a zarazem upraszam o błogosławieństwo dla siebie i mojej rodziny.

HELENA Z MAŁUSZYŃSKICH GRUSZECKA.

Zeszłego roku zachorowałem tak ciężko, żem się musiał udać do miejsca kuracyjnego, gdzie atoli przez dłuższy czas ani lekarze ani powietrze nie podziałało na polepszenie mojego zdrowia. Postanowiłem tedy wrócić do domu, a udać się o pomoc do Matki Boskiej Wspomożycielki wiernych, przyrzekając, że jak wyzdrowieję, to dam 10 koron na podziękowanie i ogłoszę publicznie w Wiadomościach otrzymaną łaskę. Zaraz też po powrocie stawałem się z każdym dniem zdrowszym tak, że dzisiaj jestem zupełnie zdrów, choć lekarze wątpili bardzo o mojem wyzdrowieniu. Za tę i za wszystkie inne łaski składam Wspomożycielce wiernych najgorętsze dziękczynienia.

Dublany, 2. 3. 1911.

MAREK RZEMYKOWSKI.

Upraszam najpokorniej o ogłoszenie publiczne łaski otrzymanej za przyczyną. Najśw. Maryi Wspomożycielki i Najsłodszego Serca Pana Jezusa. Byłam ciężko chora na nogę — i gdy żadna pomoc lekarska nie ulżyła strasznym moim cierpieniom, udałam się z ufnością do niebieskiej Lekarki i nie zawiodłam się. Dziś jestem zupełnie zdrową, to też wywiązuję się z przyrzeczenia, przesyłając choć małą kwotę na cele Salezyańskie.

Starobrody, w maju 1911 r.

J. CZEREDARCZUK.

Przed dwoma laty zachorował nam synek bardzo ciężko i pomimo natychmiastowej pomocy lekarskiej, choroba przybrała groźne rozmiary i przez sześć miesięcy zagrażała życiu biednego dziecka. Wtedy to udaliśmy się czem prędzej do Matki Boskiej z prośbą o uratowanie życia naszego jedynego dziecka, przyrzekając, w razie wysłuchania, ogłosić otrzymaną łaskę we Wiadomościach Salezyańskich na większą chwałę Maryi Panny Wspomożycielki. I rzeczywiście przy pomocy pewnego lekarza dziecko powróciło do zdrowia, lecz aż dotąd nie spełniliśmy naszego przyrzeczenia.

Sieniawa, 1. 5. 1911.

JÓZEF i MARYA MICHALSCY.

Piszę list dnia 8-go maja 1911 roku. W pierwszych słowach mojego listu niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Marya Wspomożycielka! Byłem bardzo chory, — na śmierć — nikt mnie nie zapewniał, że wyjdę z choroby; ale skorom powiedział, że dam 2 ruble na Mszę św. przed Obrazem Matki Boskiej, tom zaraz wyzdrowiał. Teraz proszę to napisać we Wiadomościach Salezyańskich.

Boleścice (Królestwo Polskie).

JÓZEF MUSZYŃSKI.

Zdając ostatnie rigorosum teologiczne w Innsbruku, odprawiłem Nowennę do Najśw. Panny Wspomożenia wiernych i ślubowałem małą ofiarę na tamtejszy Zakład.

Matka Najśw. nie zawiodła, toż wywiązuję się z mojego ślubu obecnie skromną jeszcze ofiarą, w początkach mej pracy parafialnej; przyrzekam jednakże więcej, skoro tylko stosunki na to pozwolą.

Barysz, 14. V. 1911.

X. dr. ZYGMUNT KOSZUBSKI.

Wywiązuję się z głęboką pokorą z przyrzeczenia, danego Matce Najśw. Wspomożenia wiernych, że jeżeli szczęśliwie przejdę operacyę i zdolną będę w przyszłości pełnić moje obowiązki, złożę publiczną podziękę za tak wielkie dobrodziejstwo. Rzeczywiście zostałam wysłuchaną, więc pełna wdzięczności składam dziękczynienia N. M. P. i polecam się nadal Jej łaskawej opiece.

Kęty, 4. 5. 1911.

JÓZEFA TYLAWSKA.

Dotknięta długą i ciężką chorobą, zwróciłam się z całą ufnością o pomoc do Najśw. Panny Wspomożycielki wiernych i prosiłam o odprawienie Nowenny w tej intencyi przed Jej obrazem w Oświęcimiu. Od tej chwili choroba poczęła ustępować tak, że dziś zajmować się mogę pracą jak dawniej. Z głębi serca przepełnionego wdzięcznością składam gorące dziękczynienia Najśw. Pannie za zdrowie i inne łaski, jakie w tym czasie otrzymałam za Jej przyczyną.

Tarnów, 8. 5. 1911.

LUDWIKA ROSOYÓWNA.

Marya Michalska z *Sieniawy* składa publiczne podziękowanie za pomoc w słabości przy niebezpiecznem biciu serca.

Józef Kubik z *Pschower-Dollen*, za pomyślne załatwienie pewnej sprawy.

Marya Modzelewska z *Ruska*, za cudowne wyzdrowienie dziecka.

Józef Rychel z *Łodzi* wyraża cześć i chwałę

Najśw. Wspomożycielce i Najsł. Sercu Jezusowemu za uzdrowienie córki.

Anna Szymonek z *Ząbkowic* przesyła wota jako dziękczynną ofiarę za wysłuchanie łaski.

Jan Piotrowski z *Granicy* dziękuje Najśw. Maryi P. W. W. za wygranie procesu.

T. P. z *Poznania* za doznane łaski.

Józef Plewa z *Mülheim* za wyzdrowienie z bardzo niebezpiecznej choroby, w której lekarz nie obiecywał polepszenia.

W. K. za uzdrowienie z ciężkiej choroby oczu.

Cz. W. P. za cudowne uzdrowienie syna.

S. N. za odzyskane zdrowie brata i wysłuchanie prośby.

Kazimierz i Agnieszka Juczykowie z *Osieka*, za uzdrowienie synka.

Józefa Płońska z dziećmi za liczne i różne łaski i dobra niebieskie.

M. Witajewska z *Opalenicy* za otrzymane łaski.

F. Czaplicki z *Kościana*, za ochronę i pociechę.

W. J. z *Krasnej* za wysłuchanie prośby; poleca się nadal opiece Matki Boskiej.

N. N. ze *Skarszewów*, za pomyślny wynik procesu.

Jadwiga Poręba z *Zagórzanów* za łaskę w chorobie syna.

Wiktorya Kuryłowa, z *Jadowników*, za cudowne uzdrowienie syna z bardzo ciężkiej choroby.

A. Ciężyńska z *Gostynia*, za cudowne wyzdrowienie swej młodszej siostry.

Tadeuszowa Pilatowa, za opiekę i pomoc w całem życiu i w różnych trudnych warunkach.

F. J. K. z *Kościana*, za wysłuchanie prośby i wybawienie z wielkiego smutku i zmartwienia: Niechaj Ci, o Panno Święta, za wysłuchanie prośby mojej, będzie wieczna cześć i chwała!

*
* *

Nadto dziękują Najświętszej Maryi Pannie Wspomożycielce wiernych za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele Salezyańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski i przemyski także następujące osoby:

Galicya: Fr. K., *Budzanów;* Leonard Obtułowicz, *Żywiec;* St. Zawiliński, *Brzeziny;* H. Kaszuba, *Przemyśl;* N. Lepianka, *Sambor*.

Górny Śląsk: Teodor Krupok, *Kolamowska;* Jan Kolloch, *Kl. Stanich;* Konrad i Marya Czajor, *Rozdzień*.

Królestwo Polskie: Fr. P., *Mały Płock;* L. O., *Międzyrzecz*.

W. X. Poznańskie: Józefa Paszkiewicz, *Szpandawa;* Familia Wrońskich, *Śrem*.

F. Bobrowicz, *Wilno*. (*Litwa*) W. Wybieralska, *Miejska Górka* (Prusy).

Bibliografia.

Drogowskazy.

Wobec coraz smutniejszych objawów upadku moralnego, powodowanego najczęściej brakiem uświadomienia właściwego i przejęciem się krążącemi a systematycznie rozsiewanemi opiniami o najważniejszych dla ludzkości zagadnieniach, okazuje się niezbędnem przypomnienie inteligencyi wierzącej naszego kraju zdrowych zasad, jedynie zdolnych wyprowadzić społeczeństwo z bezdroży i bagna, w którem grzęźniemy.

Hr. Juliusz Ostrowski postanowił osobiście wydawać pod tytułem **Drogowskazów** materyały i dokumenty większej wagi, jak postanowienia Najwyższej Władzy Nauczającej (tak mało u nas znane, rzec można, zapoznane) i komentarze do nich, przez najwybitniejszych działaczy katolickich całego świata wydawane.

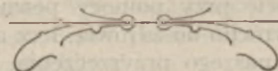
Drogowskazy będą wychodziły zależnie od potrzeb chwili, lecz nie w odstępach stałych ani w jednakowej ilości tekstu, przeważnie w broszurach kilkuarkuszowych.

Wydawca nie będzie przyjmował prenumeraty, jednakże, tylko w miarę poparcia, będzie mógł to dzieło, wymagające i pracy dużo i niemałego nakładu, prowadzić bez ustanku.

Drogowskazy zaczęły wychodzić od wilii Niepokalanego Poczęcia r. z., t. j. od 7 grudnia. Pojawienie się następujących zeszytów będzie w pismach ogłaszane.

Drogowskazy będą do nabycia w księgarni Kroniki Rodzinnej — Podwale 2, w księgarni Szczepkowskiego — Nowogrodzka 27, i w Lokalu Związku Katolickiego — Piękna 4. W księgarniach arkusz druku sprzedawany będzie po 5 kop.

W Związku Katolickim z opuszczeniem rabatu. Uprasza się pisma katolickie całego kraju o powtórzenie niniejszego ogłoszenia.



Wiadomości Potoczne.

ZAPOWIEDŹ KONGRESU MARYAŃSKIEGO W PRZEMYŚLU.

Pierwszy polski kongres Maryański odbył się przed paru laty we Lwowie i przyczynił się nie mało do podniesienia ducha religijnego i kultu Najśw. M. P. w naszem społeczeństwie. Wyrażono też podówczas życzenie, aby w niedługim czasie zebrał się taki sam kongres w jednem ze znaczniejszych miast Polski. Pora kongresu nadeszła, ale z różnych bardzo ważnych względów drugi ten z rzędu polski kongres Maryański nie może się zebrać ani w Warszawie, ani w Poznaniu, ani w Wilnie, ani w Krakowie. Zbierze się natomiast tego roku w Przemyślu za inicyatywą i pod protektoratem J. E. X. Biskupa Pelczara, który z pewnością uczyni wszystko, by tylko z kongresu był prawdziwy pożytek dla społeczeństwa, a chwała Królowej Korony polskiej.

Celem bliższego omówienia tej sprawy zebrała się dnia 23. z. m. w pałacu biskupim miejscowa Rada parafialna Związku katolicko-społecznego. Arcypasterz odczytał odezwę, w której wzywa wszystkich do chętnego udziału w obradach kongresu. Odezwa ta, wyłuszczająca dokładnie powody i zadanie kongresu, będzie później ogłoszona drukiem i w osobnych odbitkach rozesłana. Następnie przedstawił X. Biskup Radzie program prac kongresowych, nie zupełnie jeszcze opracowany, ale w treść bardzo zasobny. Z radością dowiedzieliśmy się, ż w kongresie mają wziąć czynny udział wszyscy nasi księża Biskupi z Galicyi i niektóre osobistości, zaszczytnie już znane na polu pracy naukowej i na niwie naszej pracy społecznej. Dość wspomnieć Stanisława Tarnowskiego, Jeske-Choińskiego, Krotoskiego, X. Rostworowskiego, X. Kuznowicza, Czerkawskiego, Pawła Sapiehę. Z pań wezmą udział między innemi pp.: Marya Straszewska, Czapelska, Drużbacka, Kaczkowska. Ponieważ z kongresem ma być złączony wiec katolicko-społeczny — *więc w osobnych lokalach obradować będą w tym czasie różne stowarzyszenia nasze, jako to: Bractwo Królowej Korony polskiej, zaprowadzone w całej Dyecezyi przemyskiej, związek robotniczy, Sodalicye Maryańskie, stowarzyszenia opieki nad terminatorami i zaniedbaną młodzieżą, stowarzyszenie opieki nad sługami, stowarzyszenie imienia Piotra Skargi i inne. Główne obrady toczyć się mają w sali „Sokoła", ale odbywać się będą także posiedzenia osobne i w seminaryum duchownem i w domu robotniczym pod wezwaniem św. Józefa i w sali „Gwiazdy" przemyskiej.*

Na wspomnianem zebraniu ukonstyuował się komitet, który ma się zająć urządzeniem kongresu.

Pomieszczeniem gości ma się zająć osobna komisya kwaterunkowa, a komisya ceremonialna czuwać będzie nad porządkiem nabożeństwa i obrad. Sekretarzem komitetu mianowano notaryusza Konsystorza biskupiego, X. dr. T. Chciuka i na jego ręce należy nadsyłać wszelkie zgłoszenia. Termin kongresu naznaczono na czas między 26. a 28. sierpnia br. Bliższe szczegóły będą ogłoszone w swoim czasie.

(*Gaz. Kościelna*).

OŚWIĘCIM, dnia 10 maja 1911 r. — *Kochany X. Redaktorze!* — Przesyłam na zakończenie roku choć malusieńką wiązankę wieści z naszego Zakładu, zanim się chłopcy rozjadą na wakacye. Ostatnia notatka kronikarska urwała się na świętach Bożego Narodzenia, po których, jak wiadomo, w zakładach naszych ściągają na się uwagę 2 daty: 29 stycznia czyli święto Patrona naszego, św. Franciszka Salezego, i 31 stycznia, dzień śmierci Czcigodnego Sługi Bożego a Założyciela naszego, X. Jana Bosko.

Uroczystość patronalna wypadła bardzo pięknie, tak co do nabożeństw kościelnych, jak co do okazałości zewnętrznych w całym Zakładzie. Sumę celebrował przew. X. Jan Mataga, proboszcz z *Marcyporęby*, wielki nasz dawny przyjaciel i dobrodziej. Kazanie o św. Franciszku wygłosił X. Franciszek Synior, Salezyanin, sekretarz inspektoryalny, a konferencyę do Pomocników Salezyańskich X. Dr. August Hlond, dyrektor Zakładu wiedeńskiego. W Zakładzie odegrano wieczorem przedstawienie dramatyczne p. t. „Syn Marnotrawny." Przedstawienie to powtórzono trzykrotnie, raz dla dziatwy szkolnej, a dwa razy dla dorosłych, za każdym

razem ogromna sala była wypełniona prawie po brzegi.

Po uroczystościach zabraliśmy się do dalszych prac nad wykończeniem zakładu, a mianowicie kościoła Maryi Wspomożycielki. Prace przeciągły się aż po Wielkanoc — lecz gdy usunięto rusztowania, odnowiona część sklepienia przedstawiła widok wspaniały. Na uroczystość Matki Boskiej Wspomożycielki spodziewamy się wykonać chór dla śpiewaków, urządzony na wzór chóru w świątyni turyńskiej. Teraz tylko prosić Matkę B., ażeby natchnęła jakiego szczodrego Pomocnika, któryby sobie wziął do serca sprawienie organu.

W bieżącym roku szkolnym, jak to już zaznaczyłem w ostatniej korespondencyi, zdrowie przełożonych i wychowanków nie koniecznie dopisywało. Mianowicie młodsze generacye cierpiały dotkliwie wskutek nagłych skoków temperatury. Wielu udało się do domu dla odzyskania sił, inni zaś trzymali się jak mogli, by tylko dociągnąć do końca roku szkolnego.

Mieliśmy w tym roku także jeden wypadek śmierci. Zmarł nam młodzieniec, który pod każdym względem zasługiwał na to, by go stawiać jako wzór do naśladowania. Był to Stefan Mądry z Bierunia. Musiał on pokonać poważne trudności, by wstąpić do Zakładu, lecz P. Bóg wynagrodził jego stałość i wierność, dając mu śmierć sprawiedliwego, a pogrzeb jego był serdecznym objawem współczucia licznej ludności z tej okolicy Oświęcimia dla młodego wychowańca Salezyańskiego. Po Mszy żałobnej wyruszył orszak pogrzebowy przy dźwiękach żałobnego marsza *Szopena*, a nad groben przemówił X. Dyrektor tak serdecznie do współtowarzyszów zmarłego, że ich wszystkich do łez poruszył.



WALENCYA (Hiszpania). — Święto gimnastyków.

Pod takiem wrażeniem rozpoczęli chłopcy w dwa tygodnie później rekolekcye, które jak się należało spodziewać, wypadły bardzo pomyślnie, ku powszechnemu zadowoleniu chłopców samych i ich przełożonych (c. d. n.).

GORYCYA. — Wycieczka do pieczar Św. Kancyana. — Maj jest miesiącem wycieczek, zwłaszcza młodzieży uczącej się, stąd jej ulubione majówki, urządzane przez wszystkie zakłady naukowe gremialnie, in corpore albo gromadami i gromadkami.

I potrzebny tej młodzieży taki oddech szeroki na wolnem i świeżem powietrzu, zaprawiony

ożywczą wonią wiosny, potrzebna tak serdeczna rozrywka, ubawienie się pośród zieleni, kwiatów i śpiewów leśnych mieszkańców. Lecz jeśli można dołączyć *utile dulci* — *użytek zabawie* i jeżeli zabawa przez to się wysubtelni i ducha i umysły ubawi: majówka dopnie celu swojego na całej linii.

Młodzież nasza miała szczęście odbyć taką właśnie majówkę. Wycieczka do pieczar św. Kancyana, to coś nie tuzinkowego; wielu przenosi je nad sławne na cały świat pieczary w Postojnie: tam zanadto znać rękę ludzką, tu przyglądamy się samej przyrodzie pierwotnej, jej pracowni dziwów we wnętrzu skorupy ziemskiej. Obszar Karstu należy do najsmutniejszych. Zarzucony kamieniami i okruchami skał, z rzadka porośnięty krzewinami karłowatemi i ostrą trawą, nie przedstawia mieszkańcowi nadziei utrzymania. W dolinach rwących rzek, gdzie gleby cienka warstwa, kryją się małe wioski i osady, okolone murem z luźno poskładanych kamieni, aby się zasłonić przed zasypem okruchów. Ten wyż pusty obrała sobie przyroda jakoby dla uwydatnienia swej biegłości twórczej i w jego wnętrzu żłobi i rzeźbi i układa swoje dziwy. A kiedy stworzyła arcydzieło, dozwala je oglądać człowiekowi. Na zewnątrz objawia się jej praca, w pewnych okolicach zwłaszcza, w formie lejkowatych zapadnień o różnem dnie i różnej wysokości. Tak powstają kotliny i kotlinki, przez Słoweńców *dolinami* zwane. Pierwszorzędnem narzędziem w tej pracy przyrody jest woda wgłębna: ona rozpuszcza wapienne skały tych gór, dziurawi je, bróździ: poszczególne strugi łączą się w potężne zwory, siła ich rośnie i skutki pracy rosną: woda wdziera się coraz głębiej, podmywa coraz szerszą przestrzeń, dopóki nie trafi na olbrzymi opór: wtedy, czując się dosyć silną, szuka sobie ujścia lub tworzy stawy i jeziora podziemne. Nierzadko próżnie takie nie mogą utrzymać swojego sklepienia, następuje mniej czy więcej gwałtowne obsunięcie się warstw wierzchnych i wtento sposób powstają owe lejkowate kotlinki.

Wycieczka nasza wyruszyła rano o piątej na *Dontulje do Opciny*. Dzień zapowiadał się prześlicznie. Pociąg sunął przez uroczą dolinę i wśród bardziej jeszcze uroczych krajobrazów. Chłopcy stali gronami przy oknach, gwarząc między sobą i używając obfitej woni bzów i świeżego wiewu rannego wietrzyka. Przez kilkanaście minut zapomnieli być sobą. Oczarował ich majestat rodzącego się dnia majowego i młode ich wyobraźnie i zmysły wrażliwe kąpały się w jego blaskach, upajały jego zapachem. Od *Dontulj* do *Opciny* droga bardziej jednostajna, karstowa posępność występuje tu wyraźnie. Więc chłopcy zaczęli przeciwdziałać: kapela grała, jakby umówiona, inni w krzyki, śmiechy i żarty, jak zwyczajnie wśród młodzieży, osobliwie na przechadzce W *Opcinie* udali się wszy cy na Mszę św. wspólną do parafialnego kościoła. Gościnni Słoweńcy podejmowali nas, jak umieją podejmować gościa Słowianie, pod wodzą p. Sołtysa i naszego Pomocnika.

Po śniadaniu około 10-ej wsiadła wycieczka na wozy i dalej ku pieczarom. Dzielił nas od nich spory kawał drogi. Skracano ją sobie śpiewem i czem kto mógł i potrafił. Zresztą nudy nie miały się gdzie przyczepić, gdyż droga wiodła przez krainę całkiem nam nową. Po obu stronach, na przestrzeni wietrzejących odłamów i wywrotów skał, pełno tu lejkowatych dołów rozmaitej wielkości. Wiele z nich jest uprawnych, te otoczono murem. Inne zarośnięte są drzewami, których jeno wierzchołki kołyszą się nad powierzchnią, a niekiedy ani tych nie widać. Gdzie głębokość duża, tam stoi lub płynie woda. Ponura tajemniczość tej ziemi napełnia zwolna trwogą świeżo przybyłego. Boimy się zwykle dołów, a tutaj ich tyle i tak głębokich!

Przyjechaliśmy do wioski *Matavun* tuż przy pieczarach św. Kancyana. Noszą one nazwę od kościoła tego św. Męczennika, który pochodził z możnej rodziny rzymskiej Anicyuszów. Podczas prześladowania Dyoklecyana, jak niesie stare podanie, miał on tutaj w tych jaskiniach szukać schronienia. — Naprzeciw stoki górskie spadają nieomal prostopadle. Mają zabarwienie żółtawo-czerwone. Nietrudno domyślić się za niemi próżni. Rodzaj gorączki opanował wszystkich. Rzędy gotowe w jednej chwili. Jeden hamował drugiego. Samo położenie rozegnało myśli płoche. Przewodnicy z długiemi pochodniami zajęli wyznaczone sobie miejsca. Co za przeciwieństwo! Oni starcy przeważni, weseli, uśmiechnięci, jakby się szło w tan, a my poważni, skupieni. X. Dyrektor daje ostatnie upomnienie! — Wolno, moi chłopcy, ostróżnie, jeden za drugim! Iść tylko za przewodnikami, a w przejściach bardziej niebezpiecznych trzymajcie się za ręce! — Ruszamy. Mało się mówi i jeno półgłosem. Nie widać nic tylko drzewa przy drodze. Potem widnokrąg się rozszerza, słychać huk podziemny, rosnący z każdym krokiem. Przychodzimy do *przystanku Stefanii* i tu nagle otwiera się przed nami jar, kilkadziesiąt m. głęboki. Dzika *reka Bystryca* szamoce się w nim, kłębi, przewala w kilku wodospadach i rzuca wprost na nas swe wody i przepada nagle pod naszemi nogami, jakby się lękała światła dziennego. Jest jakaś tytaniczna siła w tej rzecze. Widok ten przykuwa. Przewodnicy muszą napominać do dalszej drogi. Idziemy dalej. Niebawem zaczynamy schodzić

wązkiemi schodami jeden za drugim, lecz nie wiadomo dokąd, bo drzewa i krzaki zasłaniają widok. Po kilku minutach widok się rozszerza, przed nami 3 ściany nagie, prostopadłe, ale dna nie widać. Tylko wody huczą w dole i rosi drobny deszczyk. Stopnie wilgotne, trzeba następować ostróżnie. I już tutaj podają sobie chłopcy ręce, nawet gimnazyaliści, chociaż poprzednio odnosili upomnienia X. Dyrektora do malców ze szkół ludowych. Znów kilka schodów na dół, drzewa i krzaki rzedną, nikną, przejście prowadzi nad samą krawędzią, można już dojrzeć. Jesteśmy w tak zwanym *szybie naturalnym*, 160 metrów głębokim. Dno obszerne, poprzerzynane pieniącą się wodą. Bezustannie się tam kotłuje. — Co to za woda? — pytam przewodnika. — *Reka Bystryca*, X. Dobrodzieju, to zawsze ona! — U spodu w ścianach widać ciemne otwory, prowadzące do pieczar. Ale to wszystko jeszcze głęboko pod nami. W tem schody się urywają, otwiera się znowu przepaścisty jar. Przerzucono nad nim lekki, żelazny *most Tomasini'ego*. Wchodzimy nań po kilku, aby oglądać największy wodospad, jaki tu tworzy Reka. Most zdaje się trząść od huku, a oko szuka trwożnie przewalających się w szarej głębi bałwanów. Tutaj przewodnik nie ma fatygi — mało rozkoszy stać nad taką otchłanią! — Schodzenie staje się coraz trudniejsze, cały spód robi wrażenie olbrzymiej kuźni. Jesteśmy blizko dna; jeden skręt ostry, góra rozwiera się przed nami, zanurzamy się w jej straszne wnętrze. Mój Boże, co tu za czeluść! Przejście wąziutkie, z trudem trzeba się przedzierać, a ze strony przeciwnej Reka miota ogromne masy wód, wali je w przepaść dwoma kataraktami (progami) i tam dudnią, piętrzą się, wyją, łoskocą. Że pod takiem biciem kruszą się skały i góry się usuwają, nie dziwi teraz nikogo. *Przystankiem skalnym* nazywa się to miejsce, lecz to prawdziwy przystanek grozy. Idzie i patrzy się tutaj z drżeniem. — Jakie to przestraszające, księże! — zauważali chłopcy, kiedyśmy się stamtąd oddalili.

Długim gankiem wstępujemy do pieczary *Tominza*. Jest ona jedną z najdawniejszych. Wygrzebano w niej naczynia, narzędzia i kości z czasów rzymskich, a nawet przeddziejowych. Z góry zwieszają się fantastyczne sople stalaktytów. W szparach sklepienia gruchają dzikie gołębie. Z tworów stalagmitowych najciekawszy jest olbrzymi lew leżący. Tak wybornie jest udany, że na pierwszy rzut oka poznaje się w nim króla pustyni. Oświetlona magnezyą, przedstawia widok czarowny. Może pomieścić parę set osób. Dzieci szkolne obchodzą w niej święto choinki.

Prowadzą nas gdzieindziej. Przewodnicy strzępią koniec pochodni. — Dlaczego takie grube i długie, panie? — pytają chłopcy. — Bo droga długa w ciemności, ale proszę się nie bać. — Jesteśmy w innej pieczarze ponurej i ciemnej. Woda spływa opodal, tu i ówdzie migocą kryształy stalatytów, zresztą nie widać niczego. Tablica w ścianie mówi, że weszliśmy do *tumu Rudolfa*. Przewodnicy pozapalali pochodnie, rząd zapuszcza się wolno w tajemniczą próżnię. Tuż nad wodą zapalono słupek magnezyi. Różowe światło oblało okrągłą przestrzeń. Dno nie straszne, wierzchu nie widać, ludzie podobni do duchów z arabskich powieści. Wznosimy się stopniowo, rząd wyciągnięty, tum tworzy piętra zwężając się, to znowu rozszerzając, dna wierzchu nie widać. Przyroda puściła tu wodze swojej fantazyi. Na ścianach porzeźbiła palmy, paprocie, gdzieindziej zachciało jej się rzemiosła, sztuki, więc porobiła szafki, chrzcielnice, ambony, framugi z firankami, żyrandole, postacie ludzkie a nawet krokodyla. Najbardziej podziwiano tak zwane *studzienki*. Tworzy je kilka rzędów waz stalagmitowych, ustawionych amfiteatralnie. W czasie słoty wypełniają się wodą, przy posusze wysychają. Odmiennego rodzaju wrażenie wywiera *most dyabelski*. Przyczepiony do ściany na zawrotowej wysokości, w kształcie wystającej krawędzi, wygięciem swojem przypomina urwiste stoczysko w bezmiar. Wydostaliśmy się na mały tarasik. Nad nami migotało małe światełko jakiegoś śmiałka, szukającego sklepienia tej pieczary. — Pod nami snuł się długo rząd pochodni i postaci ciemnych, milczących. Wrażenie takiego obrazu trudno opisać słowami. Wysokość *tumu Rudolfa* obliczają na przeszło sto metrów.

Z tarasu rozpoczęliśmy wracać. Chłopcy czuli się wyczerpani. Dwie godziny wędrówki trudnej po podziemiach i wśród tylu nowych, wstrząsających wrażeń osłabiły ich rzeczywiście. Schodzono wesoło przez pomniejsze pieczary i ganki i około l-ej stanęliśmy ponownie w *Matavun*. Zwiedziliśmy część główną pieczar św. Kancyana. Obiad czekał gotowy, a biesiadnicy mieli wszystkie dane do rzetelnego posiłku.

Około w pół do czwartej opuszczaliśmy *Matavun*. Jeszcze raz objęliśmy okiem widok ogólny *Pieczar św. Kancyana* i w niespełna pół godziny później znajdowaliśmy się już na stacyi w *Divacia*. Pociąg unosił nas przez gościnną *Opcinę*, nad wybrzeże Adryatyku. Morze było spokojne, w modrej dali mieniły się wieże i dachy Tryestu. Chłopcy mieli o czem gawędzić i czem się bawić i zachwycać. Majówka olśniła ich rojenia. O siódmej wieczorem przyjechaliśmy do Gorycyi i wśród tłumów życzliwej nam lud-

ności i dźwięków kapeli odbyliśmy nasz pochód uroczysty do starego gniazda.

LONDYN. — W niedzielę 7-go maja przystępowały nasze dziatki polskie do pierwszej Komunii św. O godzinie 11-ej zgromadziły się w szkółce przy kościele, skąd były procesyonalnie wprowadzone do kościoła. Zaraz potem nastąpiła uroczysta Suma, podczas której X. Langer przemówił w krótkich słowach do dziatek, wskazując im, jak ważną i piękną jest dla nich chwila obecna. Po publicznem wyznaniu wiary i wyrzeczeniu się szatana, przystąpiły dziatki do Stołu Pańskiego.

Podczas Komunii św. chór naszych rodaków odśpiewał z prawdziwym artyzmem prześliczne *Ave Maria*. Po Komuni św. przemówił X. Langer raz jeszcze serdecznie do dziatek, aby im dać odczuć jak najpotężniej wielkość szczęścia, jakie im przypadło w udziale, a w dalszym ciągu wzywał rodziców, aby otaczali dziatki troskliwą opieką i strzegli od wszelkiego zepsucia.

Nasza Misya znajduje się, dzięki Bogu, w stanie pomyślnego rozwoju. W bieżącym roku otworzyliśmy drugą szkółkę dla tutejszej dziatwy polskiej.



LONDYN. — Dziatki u pierwszej Komuni.

ESTE. — Poświęcenie boiska — W ostatnią niedzielę kwietnia zapanowało w pobliżu kollegium Manfredini wielkie ożywienie, gdy dźwięki fanfary zwiastowały przybycie wychowanków drugiego *kollegium* Salezyańskiego w dywizie gimnastów, a nieco później inny orszak młodzieży z *Patronatu*, poprzedzony przez potężną kapelę. Dyrektor Kollegium w otoczeniu „przedstawicieli władz miejskich poświęcił „*boisko*" przemawiając w następujące słowa:

Aby naszym wychowankom dać więcej sposobności do rozwoju sił fizycznych, uważaliśmy za rzecz odpowiednią, przeznaczyć część ziemi przy zakładzie na boisko dla ćwiczeń pieszych i kołowych. Jesteśmy przekonani, że spełniliśmy rzecz całkiem zgodną z duchem X. Bosko, który z niezrównaną sztuką potrafił obrócić sport i gimnastykę na znakomite czynniki wychowania moralnego.

A ponieważ do ćwiczeń kołowych będą przypuszczeni tylko chłopcy celujący w dobrem prowadzeniu i w postępie w naukach, mamy nadzieję, że nasze zarządzenia nietylko wpłyną na fizyczny rozwój chłopców, ale co więcej, także na ich wychowanie obyczajowe i wy-

kształcenie umysłowe i będzie całkiem zgodne z zapatrywaniem rodziców tychże wychowanków.

SLIEMA (Malta). — Dwudziestego siódmego kwietnia obchodzono w zakładzie święto rozdania nagród, na które przybyły najpoważniejsze osobistości miasta i okolicy. Dyrektor Instytutu odczytał wspaniały adres do J. E. p. Gubernatora, przedstawiając w głównych zarysach to, co się dało zdziałać dla dobra wychowanków i dziękując z głębi serca wszystkim szczodrym obywatelom, którzy pomocą swoją przyczynili się do wzniesienia i utrzymania tak zbawiennej instytucyi. Pomiędzy dobrodziejami wyliczył p. Gubernatora, Lady Micallef i cały szereg znakomitych osobistości. Słowa X. Dyrektora zostały przyjęte długimi oklaskami.

Pan Gubernator odpowiedział na adres, podnosząc pożytek i humanitarne cele dzieła XX. Salezyanów; wykazał, że rząd popiera tę pracę jako potrzebną w najwyższym stopniu dla wychowania naszej młodzieży; opisał treściwie dzieje i cały stopniowy rozwój tego instytutu cywilno-religijnego; oddał zasłużoną pochwałę jego pierwszemu wielkiemu patronowi panu A. M. Galei; wspomniał o zasługach pana R. Micallefa, który pomimo swego podeszłego wieku, chciał jeszcze pomnożyć swoje dotychczasowe zasługi przez dzielne poparcie instytutu i zakończył swoje przemówienie zapewnieniem, że rząd i obywatelstwo nie przestaną popierać tego wspaniałego pomnika miłości chrześcijańskiej.

Potem pan Gubernator sam wręczył chłopcom nagrody.

HISZPANIA. — Drugi Następca wielebnego Jana Bosko, zwiedziwszy wiele Domów Salezyańskich we Włoszech i w południowej Austryi, puścił się ostatecznie w podróż do dalekiej Hiszpanii, by pocieszyć i zagrzać do wytrwałej pracy tamtejszych współbraci, zostających pod grozą burzy politycznej, jaka zawisła nad tym katolickim krajem. Polecamy gorąco naszym przezacnym Pomocnikom, aby się zechcieli pomodlić o szczęśliwą podróż dla naszego wspólnego Przełożonego.

Wśród dzieci ludu.

TURYN. — Z kaplicy świątecznej. — Nowin z tej pierwszej kaplicy świątecznej, założonej przez X. Bosko, nie powinnoby brakować w żadnym numerze naszych Wiadomości; lecz niechcąc wyrządzać krzywdy innym, musimy je nieraz odkładać na później, a tymczasem dać miejsce nowinom z innych kaplic świątecznych. Tym razem przedstawimy treściwie główne wypadki z ostatnich trzech miesięcy.

Przez cały 30-dniowy Post przybywali chłopcy do kaplicy na katechizm codziennie i to raz w południe od 12 — 2ej, a wieczorem od 7-ej aż do 9-ej. Jedni z nich uczęszczali na nauki przygotowawcze do pierwszej Komunii św.; inni znowu uzupełniali swoje wykształcenie religijne i przygotowywali się do dobrego odprawienia Komunii Wielkanocnej, którą wszyscy wspólnie, razem z pierwszymi, postanowili odprawić w sam dzień Zmartwychwstania Pańskiego. Na uroczysty ten akt chłopcy przygotowali się trzydniowem nabożeństwem z kazaniami.

Dla wielkiej liczby chłopców musiano w Wielkanoc odprawić dwukrotnie ranne nabożeństwo, pierwsze dla doroślejszych chłopców, a drugie dla malców, między którymi 150 przystąpiło do pierwszej Komunii św. Dla nich odprawił Mszę św.sam czcinajgodniejszy Generał Zgromadzenia Salezyańskiego, X. Paweł Albera, który przed Komunią św. przemówił serdecznie do uszczęśliwionych chłopców.

Wieczorem tegoż dnia urządzono dla nich piękne przedstawienie dramatyczne, a nazajutrz udali się wszyscy do *Valsalice*, ażeby zwiedzić groby X. Bosko i X. Ruy.

Niedzielę Białą przeznaczono na dzień Komunii Wielkanocnej dla byłych wychowanków tejże kaplicy świątecznej, którzy się stawili w wielkiej liczbie do tego aktu religijnego i spełnili go z budującą pobożnością.

Tegoż samego dnia małe grono zuchów z kółka sportowego *Valdocco* udało się na turniej gimnastyczny do *Alby*, gdzie zdobyli złoty medal i pierwszą nagrodę z równą zasługą na równi z gimnastykami 7° pułku artyleryi aleksandryjskiej.

W drugą niedzielę po Wielkanocy wszyscy uczestnicy kaplicy świątecznej w liczbie 850 udali się z pielgrzymką do *Valsalice* i tam byli obecnymi na nabożeństwie i przystąpili do Komunii św.

Nakoniec w trzecią niedzielę po Wielkanocy jaka trzydziestka chłopców-rękodzielników stanęła do popisów katechizmowych pod przewodnictwem nowego X. Proboszcza Oratoryum, przy którego świątyni Matki Boskiej Wspomożenia wiernych została utworzona nowa parafia.

Lecz najgłówniejszem zdarzeniem z ostatnich dni był wielki zjazd pracowników w kaplicach świątecznych, który trwał od 17 — 19 maja i zgromadził wielką liczbę kapłanów i ludzi świeckich z całych północnych Włoszech. Ce-

lem tego zjazdu było obmyślenie i omówienie praktycznych środków celem nadania coraz większej żywotności kaplicom świątecznym.

ROSARIO (Argentyna). — **Hołd posłuszeństwa dla przepisów Ojca św., dotyczących pierwszej Komunii św.** — W niedzielę Białą 21 kwietnia 180 chłopczyków, przygotowanych całomiesięcznym wykładem katechizmu i trzydniowem nabożeństwem, przystąpiło do pierwszej Komunii św. Aby i najuboższym dzień ten upłynął w niezamąconej niczem radości, przygotowano dla wszystkich chłopców rano po filiżance czekolady z ciastkami, a na południe obiad w portykach zakładowych.

ALEKSANDRYA (Egipt.). — O tamtejszej kaplicy świątecznej pisze „*Posłaniec Egipski*" (*Il Messaggero Egiziano*) co następuje:

„Było to zadaniem w najwyższym stopniu szlachetnem zabrać się do usuwania dzieci z ulicy, od zabaw nieprzyzwoitych, w dni wolne od pracy i nauki. Zakład X. Bosko rozporządza obszerną palestrą: tam młódź swobodnie może wzmacniać swe członki. Po zaułkach wylęga się występek, a dusze posępnieją; — niechże przynajmniej raz w tygodniu tam — w liczbie jak największej — zgromadzają się chłopczyki wszelkiego stanu i rasy i niech się raz przekonają, że życie, to siła członków i czucie delikatne. Jest to dzieło rodzime i miło nam o niem rozprawiać. Ale wśród naszych ziomków nie brak równie Ormian, Greków, Hebrejczyków i Egipcyan: są tam dzieci różnych ras i wyznań, a wszyscy zbratani w jednej myśli, a mianowicie w tej: by się stać uczciwymi obywatelami.

„Spoglądaliśmy na sporą część młodzieży aleksandryjskiej, wałęsającej się, pozostającej w zaniedbaniu, w opuszczeniu, w nędzy; widzieliśmy tych chłopców na rozdrożach, zuchwałych, bezczelnych, niechlujnych, zmizerniałych, rozwiązłych, spodlonych. A jednak była to zwyczajna młodzież jak każda inna, w genialnym wieku uśmiechów, postanowień i szerokich aspiracyi. I teraz usunięta i schroniona do kaplicy świątecznej przed niebezpieczeństwami ulicznemi, śmieje się, zabawia, całą duszą oddaje się onej radości żywej i szalonej i hałaśliwej, która znamionuje młode członki, pełne, kipiące życiem gorącem; ale ta radość nie jest już okupiona kosztem uczciwości, nie jest zamącana wyrzutami sumienia, lecz wzmacnia na ciele i na duchu i na sercu. Tam uczą się tej prawdy, że jedynem prawidłem do ukształtowania uczciwego człowieka jest święta bojaźń Boża. Oni dzisiaj są dziećmi, ale jutro będą młodzianami, potem dojrzałymi mężczyznami, uczciwymi robotnikami, szanownymi obywatelami, prawdziwymi ojcami, chlubą Kościoła i Ojczyzny."

CASALE (Monferrato w półn. Włoszech). — W niedzielę 26 marca w kółku *Don Bosco* odbyła się konferencya dla członków, wypowiedziana przez p. Józefa Sansalvadore. Młody ten pracownik na niwie ludowo-chrześcijańskiej potrafił odrazu zyskać sobie przywiązanie młodych słuchaczów i rozbudzić w nich wielkie zaciekawienie do przedmiotu, który omawiał. Przez półtorej godziny prawił im o obowiązkach młodego człowieka, jak on powinien pracować najprzód nad urobieniem własnego charakteru, aby później módz dzielnie i skutecznie pracować w różnych dziedzinach życia publicznego.



SANTANDER (Hiszpania) — Batalion Infanteryi „Auxilium".

NEAPOL. — Kaplica świąteczna *al Vomero* liczy już 250 chłopców uczestniczących; jest właściwie nietylko świąteczną, ale raczej codzienną, bo chłopcom stoi otworem każdodziennie od 4-ej wieczorem aż do *Anioł Pański*. W kwietniu chłopcy odprawili trzydniowe rekolekcye celem przygotowania się do Komunii Wielkanocnej. Wynik ich był zadowalniający.

ROZMAITOŚCI.

Adwokat nawrócony.

Pewien adwokat turyński z parafii św. Augustyna zachorował ciężko, a ponieważ to był człowiek w podeszłym już wieku, choroba wnet wzmogła się do tego stopnia, że nie zostawiała nadziei wyzdrowienia. Jego życie było raczej życiem ateusza aniżeli chrześcijanina, nie dziw więc, że do ostatniej chwili stronił od religii. Skoro się tylko X. Proboszcz dowiedział o jego stanie, niezwłocznie poszedł go odwiedzić i dołożył wszelkich starań, by w nim rozbudzić uczucia chrześcijańskie i tym sposobem nakłonić do odprawienia spowiedzi. Napróżno. Adwokat odepchnął go od siebie w sposób grubiański. Próbowali szczęścia jeszcze inni kapłani, czynili, co mogli: wszystko napróżno; ci co się odważyli nalegać mocniej na konieczność pojednania się z Bogiem, otrzymywali cierpką odprawę. Chory powtarzał, że nie chce słyszeć ani o księżach, ani o spowiedzi. Doszło do tego, że nakazał domownikom, aby pod żadnym warunkiem nie wpuszczano do niego żadnego kapłana. Nawrócenie tego człowieka zdawało się rzeczą straconą. Niemniej miłość kapłańska zdobyła się jeszcze na inne sposoby.

X. Robert Murialdo, jeden z tych, co go odwiedzili, przybył pewnego poranku do Oratoryum, aby powiadomić X. Bosko o tej sprawie, prosząc go, by i on zechciał spróbować sił swoich celem nawrócenia tej duszy, której zagrażało wieczne potępienie. X. Bosko przyrzekł, że chętnie uczyni, co będzie w jego mocy. I zaraz począł przemyśliwać nad tem, jakby upozorować swoje odwiedziny, ażeby się chory nie spostrzegł, że przybył w intencyi, by go nakłaniać do spowiedzi. Nie mógł znaleźć żadnego pozoru — ale mimo to nie zwlekając, udał się tamże w imię Boże. Po drodze wstąpił do kościoła Matki Boskiej Pocieszenia (*Della Consolata*) i pomodlił się gorąco i serdecznie za chorego, a następnie udał się do jego domu. Już się znajdował prawie u jego drzwi, a jeszcze nie wiedział, jak upozorować swoje przybycie i wyobrażał sobie, jakie przyjęcie może mu być zgotowane. W tem na kurytarzu ukazuje się chłopczyk, który uczęszczał do Oratoryum. Zobaczywszy księdza Bosko, począł go witać radośnie: ,,O księże Bosko, księże Bosko, jak się ma X. Dobrodziej?

— Dobrze, moje drogie dziecko; a więc ty tutaj mieszkasz?

Tak jest. Dobrodziej raczy wstąpić do nas, zobaczyć naszą mamę... Mamo! Mamo! Idzie do nas X. Bosko!

X. Bosko poszedł za chłopcem do mieszkania, gdzie tenże przedstawił go matce i usiadł szy wszyscy troje poczęli rozmawiać, jakby najdawniejsi znajomi. Naraz chłopiec odzywa się w te słowa: ,,Wie co, X. Dobrodziej, tu blizko mamy chorego.

A X. Bosko, udając, że nie wie, odrzekł: A jakże się ma?

— Jest bardzo ciężko chory, niech X. Dobrodziej pójdzie go zobaczyć.

— Bardzo chętnie, ale czy będzie rad moim odwiedzinom? trzeba się pierwej dowiedzieć, czy moje przybycie nie sprawi mu przykrości. Idź-no chłopcze; zapytaj się, powiedz tak: Przybył do nas X. Bosko; powiedzieliśmy mu, że pan choruje; a on mówi, że chętnieby odwiedził pana, gdyby wiedział, że to panu sprawi przyjemność.

— Idę natychmiast — odpowiedział chłopiec. — Pobiegł, otworzył drzwi do mieszkania adwokata i nie zważając na domowników, przechodzi wszystkie stancye i nie zatrzymuje się aż przy łóżku chorego.

— Panie adwokacie, przyszedł do nas X. Bosko; mówiliśmy mu o panu, a on powiada, że chętnieby odwiedził pana. Znajduje się w moim mieszkaniu; czy pan będzie rad jego odwiedzinom? Widzi pan, X Bosko mu da swoje błogosławieństwo, które go uzdrowi, bo ja wiem o tylu innych chorych, co po otrzymaniu błogosławieństwa od X. Bosko, wyzdrowieli.

Chory zapytał: Kim to jest ów X. Bosko?

— Jest to ów kapłan, co tam na Valdocco zgromadza dzieci w Oratoryum we wszystkie dni świąteczne, a wielu utrzymuje u siebie także w domu i uczy ich rzemiosła.

— A już wiem, kto to, odrzekł chory; potem namyślił się chwilę i dodał. Ano, jeżeli to X. Bosko, to niech i przyjdzie.

Chłopiec skoczył w lot do X. Bosko, który jeszcze rozmawiał z jego matką i powiedział, że chory go oczekuje. X. Bosko niezwłocznie udaje się do chorego, przedstawia mu się, a pan adwokat, skoro go tylko zobaczył, zawołał, witając go uprzejmie: — Oh X. Bosko, jestem naprawdę rad, że X. Dobrodziej przybył mnie odwiedzić. Dzięki, dzięki za tyle fatygi i tyle uprzejmości!

A X. Bosko: — Jestem rzeczywiście tutaj we własnej osobie; niech-no pan mi się przyjrzy uważnie — dodał żartobliwie — mam pono wygląd dość uczciwy?

— Niezgorzej, niezgorzej, odpowiedział chory.

— Ale jakżeżto, panie adwokacie, pan tak silny i dzielny, teraz w łóżku?

— Eh! niegdyś potrafiłem narzucać moje

zdanie innym — dziś niema rady, muszę ulegać; ale niechże X. Dobrodziej siada.

— Dajmy spokój .. jeżeli pan pozwoli, postoję sobie chwileczkę.

— Nie, nie, niechaj X. D. siada; przykro mi patrzeć, jak X. D. stoi na nogach.

Wtenczas X. Bosko usiadł blizko chorego i począł go zabawiać różnemi rozmowami, nie czyniąc najmniejszej wzmianki o spowiedzi. — Upłynęły trzy kwadranse — X. Bosko powstał i zabierał się do wyjścia.

— Czy już X. Dobrodziej chce uciekać? Niechżeż jeszcze pozostanie, jeżeli mu nie przykro.

X. Bosko: — Trudno, muszę iść za niektóremi pilnemi sprawami, które mnie czekają w domu.

— Jaka szkoda, odrzekł adwokat, niech się chwileczkę jeszcze zatrzyma.

— Nie mogę, ale jeżeli pan pozwoli, przyjdę jeszcze raz pana odwiedzić.

— Tak, niech X. Dobrodziej przybywa, — dodał adwokat, ująwszy rękę X. Bosko w swoje dłonie i nie puszczając jej.

X. Bosko po raz wtóry żegnał się z nim i dodawał mu otuchy; ale on trzymał wciąż jego rękę w swych dłoniach i nie mówił nic, tylko się wpatrywał w oblicze X. Bosko.

Wtedy X. Bosko dodał z uśmiechem: — Wiem ja, czego sobie pan życzy.

— Czego sobie życzę? Czy możebne? To posłuchajmy!

— Pan pragnie mojego błogosławieństwa.

Wtenczas adwokat zdumiony, zawołał: — Tak jest w istocie! Ale jak to X. D. mógł wiedzieć? Przecież od 35 lat stronię od religii i od księży, a teraz, gdy po raz pierwszy myśl podobna przeszła mi przez głowę, X. Bosko odgadł mi ją w jednej chwili! A więc proszę o błogosławieństwo.

— Chętnie; ale co sobie pan życzy, byśmy żądali od Boga?

— Ażebym został uzdrowiony.

— Przykro mi to panu powiedzieć, ale nużby tam w górze już był zapadł wyrok, że pan ma się przenieść do wieczności?

— Jak to X. może wiedzieć? Mnie lekarze powiadają, że mam się lepiej, robią mi nadzieję, że rychło powrócę do zdrowia.

— I ja dodaję panu otuchy, rzekł X. Bosko z wielką serdecznością, a jednak stało się: pan już nie wyzdrowieje. Ja nie mogę nic uczynić dla jego zdrowia; mogę atoli panu dać moje błogosławieństwo, a mianowicie z tą intencyą, by Bóg dał panu czasu do uporządkowania spraw swojego sumienia, by zjednać dla duszy swojej łaskę Bożą i umrzeć święcie.

Słowa X. Bosko nie wywarły jednakowoż wielkiego wrażenia na chorego, który je przyjął prawie obojętnie. Przyjął też i błogosławieństwo, a do odchodzącego kapłana rzekł gorąco: — Ale niech X. D. nie omieszka przyjść jeszcze raz mnie odwiedzić.

Nie minęło więcej nad 4 lub 5 godzin, jak X. Bosko powrócił do Oratoryum, gdy przybywa sługa adwokata z doniesieniem i prośbą, że chory pragnie gorąco zobaczyć ponownie u siebie X. Bosko. Było już późno w noc, gdy X. Bosko udał się do niego i został przyjęty z największą radością, mówiąc; ,,Dzisiejsze odwiedziny X. Dobrodzieja, rzekł adwokat, podziałały na mnie nadzwyczaj dobrze; X. D. mnie rozweselił, dlatego pragnąłem ponownej Jego wizyty.

X. Bosko: To nic, co było dziś rano; teraz dopiero naprawdę postaram się rozochocić pana Mecenasa. Tutaj pono umieją gotować dobrą kawę — niech-no pan każe postawić filiżankę, a urządzimy sobie wieczorek, co się zowie.

— Ależ z największą przyjemnością, rzekł adwokat i zawołał na służącego:

— Prędko, prędko filiżankę kawy dla X. Bosko.

Gdy przyszła kawa, X. Bosko odprawił domowników słowami: Teraz możecie sobie pójść, bo pragniemy sobie pomówić w dwoje.

Gdy tamci odeszli, on usiadł i bez ceregieli robi znak krzyża św. nad chorym mówiąc: *Dominus sit in corde tuo etc* (słowa błogosławieństwa dla penitenta, przytępującego do wyznania grzechów swoich). Ale adwokat nie pojmował, ani się nie przeżegnał, tylko zapytał: — Co X. robi?

— Nic, nic, odrzekł X. Bosko. Niech się pan przeżegna.

— A poco?

— Niechże pan nie pyta o powody, tylko niech czyni, co powiadam.

— X. D. pono mnie chce spowiadać?

— Niechże pan nie gada teraz o spowiedzi tylko niechaj się przeżegna. Cóż znowu? czy pan niezdolny zrobić znaku krzyża św? Jeszczeby też taki zawołany Mecenas nie był zdolny przeżegnać się!

— No, tyle jeszcze potrafię!

— A to proszę pokazać, bo ja nie wierzę, dopokąd nie widzę.

— Więc X. chce koniecznie widzieć? otóż... — i tutaj adwokat uczynił znak krzyża św., mówiąc: W imię Ojca i Syna i Ducha św. Amen.

Wtenczas X. Bosko skorzystał z daru dokładnej znajomości sumienia penitenta i począł mu stawiać następujące pytania: Niechno adwokat wyzna szczerze, ile tak mogło czasu upłynąć, odkąd się nie spowiada?

— X. mnie chce spowiadać?

— Nie mówmy o tem — trzymał ostro X. Bosko; niech się pan spuści na mnie; wie pan przecież, com mu przyobiecał; chcę go zadowolić; niech mnie pan posłucha : Otóż jest tyle a tyle lat, odkąd się pan nie spowiada?

— Prawda, tyle właśnie lat upłynęło, odkąd się już nie spowiadam, tylko niech X. D. pamięta, że nie mam wcale zamiaru się spowiadać.

— Niechże pan temu da spokój! — Tymczasem X. Bosko prowadził dalej swoją rzecz: Wówczas sprawy pana szły tak a tak, stan jego był taki a taki.

— Tak jest, ale mnie się zdaje, że X. D. zna moje życie?

— ... Następnie, przy tej a tej sposobności pan sobie postąpiłeś tak a tak.

— Niestety, to prawda; przykro mi, źlem zrobił, ach, gdybym to mógł cofnąć!

Tym sposobem X. Bosko po jednemu wypowiadał wszystkie grzechy chorego, który stawał się coraz bardziej zamyślonym i wzruszonym; a na każdy grzech, jaki X. Bosko mu przypominał, odpowiadał: Przykro mi, żem to zrobił; to mnie poniża; źlem sobie postąpił naprawdę! brał rękę adwokata, ściskał ją i dodawał mu otuchy mówiąc: Drogi panie, niech pan nie traci ducha. — Czułe słowa jego wzruszały coraz głębiej serce chorego. który nakoniec rozpłakał się jak dziecko, żałując serdecznie swego przeszłego sposobu życia. Otrzymawszy rozgrzeszenie, zawołał: — O X. Bosko, X. Dobrodziej mnie uratował! Z początku nie byłbym się spowiadał za żadną cenę, byłem zdecydowany dopuścić się jakiegobądź głupstwa, aniżeli odstąpić od mego uporu; ale X. D. umiał mnie wziąść na rozum i pokonał mnie; niech mu za to będą dzięki; teraz spowiadałbym się sto i tysiąc razy; moje serce rozpływa się w żalu, a jednak czuję niezmierną pociechę, jakiej nigdy nie znałem, anibym nigdy w życiu nie był sobie wyobraził. Niechże mi X. D. przyniesie także i Komunię św. — Właśnie przybyło kilku jego kolegów, którzyby z pewnością byli się starali zniszczyć dzieło dokonane przez X. Bosko. Więc tenże rzekł do chorego: Wypada odpowiedzieć, że pan jest osłabiony i potrzebuje wypoczynku i zaprosić przyjaciół, ażeby powrócili jutro.

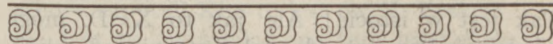
— Niech X. D. każe odpowiedzieć, jak uważa najlepiej — rzekł chory.

X. Bosko wyszedł, a do chorego przystąpiła cała rodzina, zdziwiona i rozradowana do najwyższego stopnia, s ł y s z ą c z u s t c h o r e g o, jakim to sposobem X. Bosko przywiódł go do Boga.

Nazajutrz, otrzymawszy Wiatyk i ostatnie Namaszczenie, przypuścił do siebie kolegów, którzy powrócili z wizytą. Dowiedziawszy się, że chory spełnił obowiązki chrześcijańskie, poczęli z niego szydzić i drwić i oskarżać go o słabość, iż się dał otumanić przez księdza. Ale chory pouczony przez X. Bosko wiedział, co ma odpowiedzieć: — Drwijcie sobie zdrowo, moi mili, w godzinie śmierci patrzy się na rzeczy z całkiem innego punktu widzenia, a ta chwila zbliża się i dla was. Po tem życiu jest jeszcze inne i jest także piekło z katuszami bez końca. Chcielibyście może, bym był do tego stopnia głupim, by się stoczyć w one płomienie? Śmiejcie się zdrowo! Pośmieje się najlepiej ten, kto się będzie śmiał ostatni. Wy mówicie, że nie trzeba wierzyć w przyszłe życie, ani w wieczność; tymczasem jest tylu a tylu innych, co wierzą w te rzeczy, więc bynajmniej nie okazujecie wiele rozumu praktycznego, jeżeli sobie tego nie bierzecie do serca. Dajmy na to, że nawet nie jest pewnem istnienie piekła, czyż już sama wątpliwość, że może rzeczywiście istnieje i że można w nie wpaść na wieki, nie powinna nas przekonać, że jest głupstwem żyć obojętnie? Natomiast człowiek rozumny, cóż lepszego uczyni w stosunku do wieczności, jeżeli nie to, że obiera drogę najpewniejszą? Więc poco drwić ze mnie? Ja jestem roztropniejszym od was.

Przyjaciele, na takie kazanie, nie wiedzieli co odpowiedzieć i wybełkotawszy kilka niezrozumiałych uwag, oddalili się.

Adwokat żył jeszcze cały tydzień, odwiedzany codziennie i pocieszany przez X. Bosko i zasnął w Panu ze słowami dziękczynienia na ustach za uzyskaną łaskę nawrócenia.



OBRAZKI Z ŻYCIA

ŚWIĄTOBLIWEJ

MAŁGORZATY BOSKO

MATKI

Wielebnego JANA BOSKO

założyciela Zgromadzenia XX. Salezyanów.

NAPISAŁ X. J. LEMOYNE.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XVI.

Śmierć babki. — Pierwsza Komunia.

Małgorzata Bosko, matka Franciszka, a babka Antoniego, Józia i Jasia, skończyła była w roku 1826 rok ośmdziesiąty wieku swego. Jej słabości zadawnione coraz bardziej ją przyciskały, zapowiadając rychły koniec jej życia. Skoro matusia Małgorzata poznała, iż świekra więcej z łoża nie wstanie, już się nie oddalała od jej boku. Dzień

i noc służyła jej z taką miłością i z takiem staraniem, iż lepiej nie mogłaby tego wykonać i siostra miłosierdzia. Nie zważała na koszta łożone na lekarzy, na lekarstwa i na wygody to tego stopnia, iż mieszkańcy okoliczni zaczęli szemrać i czynić jej wyrzuty: — Jeśli zmarnujecie cały wasz majątek gwoli tej staruszki, cóż tedy pozostanie dla was i dla waszych synów? Czyż nie widzicie, iż wszelkie starania na nic się nie przydadzą, gdyż starowina w żaden sposób dłużej żyć nie może? Już przecie dosyć się nażyła!

A Małgorzata odpowiadała na to:

— Wszak jest matką mego męża, a zatem i moją matką. Mam powinność szanować ją i jej służyć. To obiecałam mojemu mężowi przed jego zgonem. Gdyby wszystkie wydatki, które łożę, zdolne były przedłużyć jej życie choćby o jedną minutę, bardzobym się cieszyła z tego.

Nareszcie udzielił staruszce ksiądz proboszcz świętych Sakramentów. Wówczas, jak równie w dni poprzednie kilkakrotnie upominała ona wnuczków swoich: — Pamiętajcie sobie, że wasze szczęście i błogosławieństwo Boże dla was zależeć będzie od uszanowania i miłości, jaką okazywać będziecie waszej matce. — Zalecała im następnie, aby byli posłusznymi swojej matce i ażeby ją pod tym względem starali się naśladować, obchodząc się z nią tak, jak ona się obchodziła z ich babką, której przez tyle lat nie wyrządziła najmniejszej przykrości. Matka ich bowiem nie chciała jej opuścić, chociaż trafiało się jej bardzo dobrze za mąż; lecz aby jej służyć w starości, poświęcała swoje młode lata i wygody, skazawszy się na życie ubogie i pełne trudów w chacie swojej świekry. Wzywała tedy wnuczków, żeby i oni starali się ze wszystkich sił swoich sprawiać zawsze pociechę dobrej matce swojej, jako ona była czyniła przez cały ciąg życia dla babki.

Dzień 11 lutego 1826 r. był dla niej ostatnim. Około jej łoża stali matusia Małgorzata i wnuczki. Babka zebrała jeszcze wszystkie swoje siły i rzekła te słowa: — Zabieram się do wieczności i polecam modlitwom waszym duszę moją. Darujcie mi, jeślim kiedy była zanadto surową dla was, wszystko to było dla waszego dobra! Wam zaś, Małgorzato, niech Pan Jezus zapłaci za to wszystko, coście dla mnie uczynili. — Wreszcie przycisnęła ją do swego łona, i pocałowała, dodając: Ostatni raz całuję was tu na ziemi, lecz spodziewam się widzieć was wszystkich w niebie w wiecznej szczęśliwości.

Wnuków szlochających wyprowadzono do sąsiedniego domu, a po godzinnem ciężkiem konaniu oddała poczciwa staruszka ducha Panu Bogu.

Jaś miał wówczas rok jedenasty i wkrótce potem przystąpił do pierwszej Komunii. Ksiądz proboszcz nie znał go jeszcze dla znacznej rozległości wioski. Aby usłyszeć kazanie lub katechizacye, potrzeba było zrobić dziesięć kilometrów drogi tam i napowrót, idąc do Kastelnuowo, albo do Buttiliery. Ten brak blizkiego kościoła albo kaplicy, gdzieby mógł modlić się albo śpiewać z towarzyszami, mocno leżał na sercu Jasiowi. Był on ograniczony wyłącznie na naukę religii pobieraną od dobrej matusi; wszelako umiał dobrze cały mały katechizm.

Zwyczajnie przypuszczano w onej parafii do pierwszej Komunii te dzieci, które liczyły około lat 12; ale matka Jasia nie życzyła sobie, aby długo miał pozostawać bez tego dzielnego środka naszej świętej religii, zabrała się tedy sama do przygotowania go w sposób, jak tylko mogła i umiała najlepszy, jak w tem była już postąpiła z dwoma starszymi braciszkami jego, Antonim i Józiem. Przez cały wielki post posyłała go do kościoła parafialnego codzień na katechizm. Nareszcie po należytem odpytaniu i próbie oznaczono dzień, kiedy miał przystąpić do piewszej Komunii wraz ze wszystkiemi dziećmi. Pomiędzy takiem mnóstwem dzieci niepodobna było uniknąć rozproszenia. Małgorzata towarzyszyła mu przez kilka dni do kościoła i trzy razy zaprowadziła go do niego temi słowy: — Mój Jasiu, Pan Bóg ci gotuje dar wielki; lecz przygotuj się ku temu należycie i wyspowiadaj się tak, żeby nie zataić niczego na spowiedzi. Wyspowiadaj się wszystkiego, żałuj za wszystko i obiecuj Panu Bogu, iż będziesz lepszym w przyszłości. — Wszystko to obiecał Jaś i dotrzymał wiernie obietnicy, ponieważ słowa matki utkwiły mu w sercu głęboko.

W domu kazała mu się modlić, czytać jaką dobrą książkę i dawała mu przestrogi odpowiednie, na jakie tylko dobra matka zdobyć się może.

Rano tego dnia, kiedy miał przystąpić do Komunii świętej, nie pozwoliła mu z nikim rozmawiać. Poszła z nim do kościoła i pomagała mu do przygotowania się do Komunii św., a po przyjęciu tejże do dziękczynienia, które ksiądz dziekan Sismondi ze wszystkiemi dziećmi na przemiany głośno a nabożnie odmawiał. Nie chciała ona, aby tego dnia zajmował się jaką robotą, lecz aby wszystek czas poświęcił na modlitwę i na pobożne czytanie. Pomiędzy innemi powtarzała mu kilka razy te słowa: — Drogi mój synu, dzień dzisiejszy jest wielkim dla ciebie. Mam przekonanie, iż Pan Bóg prawdziwie wziął twoje serce w posiadanie. Ty zaś przyrzecz Mu, iż będziesz się starał ze wszystkich sił twoich być dobrym aż do końca życia twego. Na przyszłość chodź często do świętej Komunii, a strzeż się przedewszystkiem, abyś nie popełnił nigdy świętokradztwa. Wyznawaj zawsze wszystko na spowiedzi; bądź posłusznym; bywaj chętnie na katechizacyach i na kazaniach: lecz na miłość Boga unikaj jako morowej zarazy tych, co prowadzą rozmowy nieprzyzwoite.

ROZDZIAŁ XVII.

Jaś idzie do szkół. — Śmierć nauczyciela.

Poczciwa matusia Małgorzata pragnęła całem sercem, aby Jaś poszedł do szkół wyższych. Chęć jego do nauki była wyraźna; sam oświadczył był matce kilka razy, iż ma wielką chęć do stanu duchownego. Modliła się przeto gorąco, aby Pan Bóg dał jej skłonić Antoniego, który był przeciwny temu, do wykonania tej myśli.

I nie długo potrzeba było czekać, aby ją Pan Bóg pocieszył pod tym względem. Stało się to

zupełnie niespodzianie. Tego samego roku (1826) w kwietniu, kiedy Jaś był przystąpił do pierwszej Komunii św., odbywała się we wsi Buttiliera misya uroczysta. Słynni z wymowy kaznodzieje ściągnęli tam ze wszystkich stron wielu ludzi. Także i Jaś przyszedł był tam z ludźmi swojego przysiołka i miał sposobność wysłuchania kilku kazań. Po ostatniej nauce wieczornej powracał Jaś do domu z wielką gromadą ludzi. Pomiędzy nimi znajdował się także pewien ksiądz Kalosso z Chieri, mąż bardzo pobożny, który chociaż pochylony wiekiem, odbywał spory kawał drogi piechotą, aby słuchać Misyonarzy. Był on wikarym w Murialdo. Ten, widząc Jasia, jak z głową odkrytą, o włosach bujnych kędzierzawych szedł w milczeniu wśród gromady ludzi, zajął się nie mało chłopczyną; było bowiem widocznem, iż ta jego postawa nie była przypadkowa, ale skutkiem pracy usilnej i wypływem hartownej jego woli. Ksiądz ten przywoławszy Jasia ku sobie, zapytał go:

— Moje dziecko, z której wsi jesteś?

— Jestem z Beków.

— Skąd idziesz? Możeś także był na misyi?

— Tak Jegomość, byłem na kazaniach księży Misyonarzy.

— I tyś mógł co z nich zrozumieć? Raczej twoja matusia mogłaby ci powiedzieć stosowniejsze kazanie, którebyś zrozumiał, czy nie prawda?

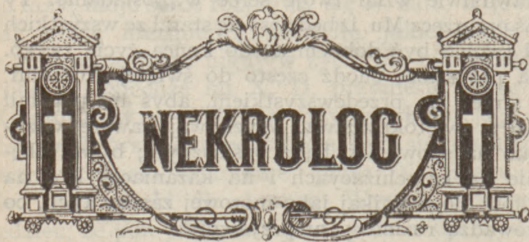
— To prawda; moja matusia zwyczajnie prawi mi piękne kazania, lecz ja chodziłem także, aby słuchać tych Misyonarzy, i zdaje mi się, żem ich rozumiał.

— Czyś rzeczywiście zrozumiał nieco z kazania?

— Zrozumiałem wszystko!

— To mi dopiero zuch! jeśli będziesz umiał opowiedzieć mi tylko cztery słowa z dzisiejszego kazania, dostaniesz odemnie zaraz cztery grosze.

(C. d. n.)



Górny Śląsk:

Dobrzyńska Marya, *Niem. Piekary.*
Gajda Grzegorz, *Bismarkhütte.*
Kłosek Katarzyna, *Miechowice.*
Kumor Franciszek, *Szarlej.*
Roch Antonina *Langendorf.*
Trocha P. *Miechowice.*
Wypych Franciszka, *Ruda.*
Cichacka Marya, *Chorzów.*
Olejarczyk Mikołaj, *Chorzów.*
Szafraniec Piotr, *Chorzów.*

Wielkie Księstwo Poznańskie:

Binkowski Antoni, *Krempa.*
Górczak Franciszek, *Dobieżyn.*
Kopczyński Aleksander, *Niedola.*
Koszek Magdalena, *Olszowa.*
Ławniczak Jan, *Szczodrochowo.*
Rozmarynowska Barbara, *Gniewkowo.*
Szadkowski Feliks, *Poznań.*
Szymańscy Antoni i Rozalia, *Jurkowo.*
Walich K., *Trzemeszno.*
Zydlewicz Marya z Filipowiczów, *Śrem.*

Galicya:

Bukowski Romuald, *Krzeszowice.*
Gabryel Michalina, *Rzeszów.*
Hobdas Anna, *Zardziela.*
Jędrzejowski M., *Widynów.*
Kalinowska Marya.
Koziorowski Antoni, *Wadowice.*
Liśniowski Antoni.
Litwin Karol, *Romanówka.*
Podraza Elżbieta, *Piaski Sieradzkie.*
Prokopowicz Władysław, *Śniatyn.*
Rochowicz Jan, *Oświęcim.*

Królestwo Polskie:

Borowska Agata, *Warszawa.*
Grygo Marya, *Seiny.*
Makarewicz Antoni, *Wisznice,*
Ruszkowska Natalia, *Warszawa.*

Litwa:

Bieliński, *Powole.*
Bykowski Józef, *Mestcejszyski.*

Prusy Zachodnie:

Cyperski Tomasz, *Gorzęcin.*
Iglieski Jan, *Sampłowa.*
Samp Barbara, *Huta Szklana.*

Prusy:

Barczyńska Barbara, *Berlin.*
Kaczor Paweł, *Zellin.*

Z różnych stron:

Grabińska Sabina.
Pawlik Marcin.
Wróblewska Albertyna.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino.
Drukarnia Międzynarodowej Spółki Wydawniczej — Turyn, Corso Regina Margherita 176.
Odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. Monauni. (Trento-Austria).